

Komunikat Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego

Lubelskie Wydawnictwo Prasowe zawiadamia P.T. Czytelników, że z dniem 31 grudnia 1988 roku przestaje się ukazywać dwutygodnik społeczno-kulturalny „KAMENA”. Tradycje tego pisma, jak i tytuł, przejmie regionalny kwartalnik, który będzie wydawany w Chełmie przez miejscowe stowarzyszenie społeczno-kulturalne.

Jednocześnie informujemy, że począwszy od stycznia 1989 roku w Lublinie zacznie się ukazywać nowy tygodnik adresowany do szerokiego kręgu odbiorców o tytule:

„RELACJE”

Tygodnik Wschodni

Wydawcą tego pisma będzie Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, a siedziba zespołu redakcyjnego mieścić się będzie przy ul. Skłodowskiej 2 w Lublinie.

Zachęcamy P.T. Czytelników do stałej lektury „Relacji”.

ISSN 0137-7108 Nr 104 302314

Ostatni numer LUBELSKIEJ „Kamena”

Atomowy koń trojański (str. 3, 4, 15)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

NR 26 (924)

25 grudnia 1988

Cena 35 zł

Opowieści zimowe

Mirosław Derecki

W ZIMOWY wieczór spotkało się przy biesiadnym stole kilkunastu starszych panów. Wszyscy byli kiedyś uczestnikami drugiej wojny światowej. I chociaż walczyli na różnych frontach i w różnych formacjach, choć posiadali różne stopnie wojskowe, łączyło ich uczucie przyjaźni, które zatario te dawne różnice.

Było to przyjęcie urodzinowe. Solenizant, z wykształcenia inżynier, podczas ośmioletniej wędrówki wojennej przemierzył szereg krajów, brał udział w wielu głośnych bitwach — z karabinem, ale także i z aparatem fotograficznym w dłoni. Tadeusz Szumański był bowiem wojennym fotoreporterem. Jednym z tych ludzi, którzy pod nieprzyjacielskim ogniem dokumentowali „na żywo” okiem kamery działania oddziałów i poszczególnych żołnierzy, ryzykując życiem nie mniej od innych, idących właśnie do ataku.

Po klęsce wrześniowej Tadeusz Szumański przekroczył wraz ze swym oddziałem granicę rumuńską. Wydostawszy się z obozu dla internowanych żołnierzy, przedarł się do Francji, gdzie wcielono go do 3 Dywizji Piechoty. Po

zajęciu przez Niemców większości Bretonii (stacjonował tam jego szkolny batalion, złożony z elewów podchorążówek oraz szkół podoficerskich) przedzierał się z kilkoma kolegami na piechotę przez prawie pół Francji, aby następnie — przez Hiszpanię, Portugalię i Gibraltar — trafić do Wielkiej Brytanii. Z Anglii popłynął w wielkim wojskowym konwoju naokoło Afryki, na Bliski Wschód, wreszcie znalazł się w Iraku, w stacjonującej tam polskiej armii.

W 1944 r. w szeregach 2 Korpusu Polskiego wylądował w Italii. Służył w 2 Warszawskiej Brygadzie Pancerniej, pełniąc obowiązki fotoreportera. Był pod Monte Cassino, szedł z czołgami na Ankonę i na Bolonię. Wykonał w tym czasie około trzynastu tysięcy zdjęć, których negatywy znajdują się dziś w większości w archiwum londyńskiego Instytutu im. gen. Sikorskiego.

Wiele z wojennych zdjęć Tadeusza Szumańskiego znanych jest szerokim rzeszom czytelników; weszły one m. in. w skład materiału ilustracyjnego książ-



Rys. Andrzej Bronikowski

Zdrowych świąt

ki Melchiora Wańkowicza — „Monte Cassino”.

Po wojnie inż. Szumański wrócił do kraju i osiadł na stałe w Katowicach.

Starsi panowie szykowali się do spełnienia toastu na cześć solenizanta. I wtedy Tadeusz Szumański zaproponował, aby zamiast okolicznościowych przemówień każdy z uczestników tego

wieczoru opowiedział jakiś fragment ze swoich wojennych przeżyć.

Zeby zaś dać przykład, sam zaczął pierwszą „zimową opowieść”:

U progu zimy 1940 r. pluton nasz skierowano do wsi Boarhills koło St. Andrews celem obrony odcinka morskiego w związku ze spodziewaną niemiecką inwazją na Wielką Brytanię. Służba była ciężka — krótkie dni a

Dokończenie na str. 10

Romuald Mieczkowski

Gwiazdka

Poprzez szorstkość igiel
choinki
a miękkość zapomnienia
w szczęśliwość
choć późną już godzinie
twoje dłonie
stracone na zawsze
(odzyskane na chwile
gałuzie —
Zbliżane wiatru srebrne
tańczą zamiecią na dywanie
jesteśmy
tak blisko siebie
jak twej wyciągniętej ręki
smutek
i smaku pocałunków
rozpamiętywanie

Próba w teatrze

Wszystko tu sztuczne nie ma żadnego
życia
bez charakterystyki aktorzy są nikim
Faust oszust stary odsiedział kiedyś
trzy lata
nie wnika w sens bytu i traktuje ludzi
do swego

ja sobaka ty sobaka
Kobiety pozbawione tytułów i światła
nie udźwigną wczorajszego powodzenia
I ci najbardziej scencie zasłużeni
nie mają przekonania w sali
pustej do spraw wielkich
Stop — zabawa skończona mówi więc
reżyser
co jest bogiem
i wszyscy zgodnie idą
do bufetu

Rozważania latawca

Zapomniany przez ludzi i ptaki
zawisłem bezużytecznie
ja
który byłem utkany z barw
Z lotu papierowego ptaka
widzę siebie
nierzym słoneczne miasto
które wypełnia woda

Długo będę czekał
zanim potarga mnie wiatr
a potem spokój szklanym pedzelkiem
namaluje białe domy
i wyjdą z domów ludzie
i pójdą ludzie w świat

Sen na śniegu

Biała rozpacz na śniegu
zimne palce, łamie

lakierowane drzewa
są martwe choć żywe
zakatarzony młocianant
studuje zegar na placu
co mu wciąż wskazuje
kwadrans za mało —
pusto na świecie
w kleszeni niemrawo
tak przespać by zime całą
obudzić się w środku plaży
i mieć na twarzy słońce



Nikt mnie nie witał
sam przyszedłem na świat
z rękami w kleszeni
i naiwnym uśmiechem
i sam witałem wszystko

Autor tych wierszy jest kierownikiem
polskiej redakcji telewizyjnej w Wilnie.

Moje postowie

Marek Adam Jaworski

WINIEN jestem Czytelnikom „Kamena”, którzy ostatnio pod adresem pisma i moim przysłałi tyle wyrazów sympatii kilka słów wyjaśnienia. Jak sądzę, przydadzą się one również tym, którzy w przyszłości będą zajmować się historią prasy polskiej. Na temat „Kamena” powstało już wiele prac magisterskich i doktorskich, ale myślę, że ostatniego słowa jeszcze nie wypowiedziano. Pięćdziesiąt pięć lat edytorstwa (no, może za szumne słowo!) w różnych sytuacjach politycznych to w polskim piśmiennictwie wcale nie tak mało! Pięćdziesiąt pięć lat na razie, bo tytuł udało się jednak ocalić, ale o samej kontynuacji niczego jeszcze nie można powiedzieć, bo skład zespołu redakcyjnego ulegnie przecież całkowitej zmianie: kwartalnik to nie dwutygodnik. Niemniej muszę z tego miejsca serdecznie podziękować I sekretarzowi KW PZPR w Chełmie, towarzyszy Stefanowi Lyczakowi, i sekretarzowi propagandy KW PZPR w tymże mieście, towarzyszy Wilosławowi Szczasnemu, którzy z taką determinacją przejmują deportowaną z Lublina „Kamena”, udowadniając, że szanują tradycję pisma, we wrześniu 1933 roku właśnie w Chełmie utworzonego i tam też w listopadzie 1945 roku przez jego założyciela, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, wznowionego. Powrót „Kamena” do Chełma jest więc jakby powrotem do źródeł, co może byłoby i akcentem optymistycznym, gdyby nie okoliczności owemu przejściu towarzyszące.

Gdy w Tezach Biura Politycznego na X Plenum KC PZPR znajdująca się rozdział zatytułowany: „Likwidacja pozostałości stalinizmu”, gdy czytam, że „nie odgradaż partii od inteligencji tak, jak schematyzm w myśleniu i działaniu”, gdy czytam, że trzeba konstruować w partii „skuteczne, demokratyczne mechanizmy politycznego weryfikowania racji tak, aby nie roniąc nie z zasady rozstrzygnięcia przez poparcie większości — szanować i wykorzystywać także opinie i stanowiska mniejszości, zapewniać jej prawo do obrony czy nawet inicjowania powtórnego rozstrzygnięcia wcześniej zaświadczonych kwestii”, nie mogę pozbyć się goryczy. I nie jest to gorycz, jakby niektórzy sądzili, odchodzącego redaktora naczelnego, ale gorycz członka Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (z prawie 40-letnim stażem), który widzi, jak cenne rozmyślenia centralnych władz kierowniczych partii są deformowane i to w odległości niecałych dwustu kilometrów od stolicy...

W tym miejscu przypomnę, że latem 1983 roku Zarząd Główny RSW „Prasa — Książka — Ruch” podjął decyzję o przekształceniu „Kamena” w tygodnik. Jak ona została zrealizowana — za chwilę. W 1983 roku przypadła pięćdziesiąta rocznica powstania pisma. Z tej okazji otrzymałem list od generała Wojciecha Jaruzelskiego, który pisał m.in.:

„Kamena” jest ważnym miejscem intelektualnego zaczytu, dyskusji oraz interpretacji procesów społecznych zachodzących w naszym społeczeństwie. Cenna jest przy tym niesłabnąca pamięć o półwiecznym rodowodzie pisma, który wiąże się ściśle z losami lewicowego nurtu polskiej inteligencji, z ideowymi wartościami klasy robotniczej. W dniu jubileuszu życzę Wam, aby dobre doświadczenia z przeszłości i osiągnięcia obecnego zespołu redakcyjnego były podstawą dalszego rozwoju „Kamena”, stanowiącej płaszczyznę wymiany poglądów i walki o socjalistyczne pryncypia ideowe oraz patriotyczne postawy Polaków”.

Na jubileusz pięćdziesięciolecia przybył wicepremier (wówczas) Mieczysław F. Rakowski, który gratulował nam przekształcenia dwutygodnika w tygodnik, poszczególni członkowie zespołu redakcyjnego otrzymali odznaczenia i nagrody. Kierownictwo miejscowych władz politycznych i administracyjnych też pośpieszyło z ciepłymi życzeniami: nastrój był i miły, i podniosły zarazem. Nikt z zbranych nie przypuszczał, że w oddali zaczynają gromadzić się chmury...

Pierwszy piorun padł z budynku przy ul. Uniejkiej: kierownictwo Lubelskich Zakładów Graficznych im. PKWN (!), oświadczyło, że nie ma odpowiednich mocy produkcyjnych na druk „Kamena” — tygodnika. Roma (dyrektor Marian Szypulski) locuta, causa finita. Ani miejscowe władze, ani kierownictwo Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego nie uczyniły niczego, aby wpłynąć na zmianę tej decyzji, wszystko pozostało więc po staremu. Najwidoczniej tak było najwygodniej i tu nawet nie winiłbym Wydawnictwa: „Kamena” (jak wiele zresztą pism w Polsce) nie jest samowystarczalna, istniało niebezpieczeństwo, że dotacja może ulec zwiększeniu, a nie zmniejszeniu. Wydawnictwo obawiało się więc ryzyka, tym bardziej, iż nowy prezes ZG RSW „P-K-R” nadał w swojej firmie priorytet problematyce finansowej. Niemniej obiecywano wrócić do tematu po roku, można więc było oczekiwać, że sprawa tygodnika nie upadła, ale została tylko przesunięta w czasie. O świętej naiwności! Minął rok i nie się nie zmieniło.

W tej sytuacji, po dwudziestu latach kierowania „Kamena”, publicznie zgłosiłem gotowość (w tzw. międzyczasie kierownictwo Wydziału Propagandy KW PZPR uległo zmianie) przejścia do pracy w „Sztandarze Ludu” na stanowisko komentatora. Na to postanowienie wpływ również miały, nie mam czego ukrywać, względy czysto materialne: należało zacząć myśleć o zbliżającej się emeryturze. Dziennikarz, jeśli jest twórczy, może pisywać wszędzie, ale te honoraria to jego prywatna sprawa. Kiedy ma się trzydzieści — pięćdziesiąt lat, wówczas jest wszystko jedno, „schody” zaczynają się później. Jeśli do tego dodamy deprecjację złotych...

Chęć mojej rezygnacji zbiegła się poniekąd z artykułem Lidii Wójcik w „Kamencie” na temat lubelskiej kultury pt. „Wielki grajdoł?” (nr 2 z 27 stycznia 1985 roku). Tytuł tłumaczy treść. Ripostował Franciszek Piątkowski w „Sztandarze Ludu”. Nie był to jego ani pierwszy ani ostatni tekst, w którym krytycznie ustosunkowywał się on do „Kamena”. Polemik nigdy nie za wiele, więc podjęliśmy rękawicę.

Nie dociekam, jakie względy ostatecznie zadecydowały (choć może, to ma znaczenie), niemniej F. Piątkowski otrzymał od Wydziału Propagandy KW PZPR w Lublinie zadanie opracowania koncepcji tygodnika. Członkowie zespołu „Kamena” zostali absolutnie z tej pracy wyłączeni, a o wszystkim dowiedzieli się grubo po fakcie i to tzw. pocztą pantoflową. Stanowisko to o tyle było dla mnie dziwne, że przecież nie stanowiącym już przeszkodą dla dokonania zmiany w kierownictwie „Kamena”. Po co więc ta konspiracja? Dotarło do zespołu, że F. Piątkowski w składzie tygodnika widzi tylko dwie osoby z „Kamena”. Reakcją było więc sukcesywne odejście z naszego pisma trzech dziennikarzy. (Ostatecznie nikt nie chce czekać, by go wyrzucano!)

Zbyt długo (dla niektórych) żyje już na tym świecie, nie w zasadzie nie może więc nawet zaszkodzić. Niemniej, kiedy na początku tego roku (dopiero!) trafiła w moje ręce owa koncepcja nowego tygodnika zawiłał mi, że jej twórcą wypowiada się za zmianą samego tytułu („Reflektor”, „Unia” lub ewent. „Nowa Kamena”). Gdybym znalazł się na jego miejscu, czułym się zaszczyconym mogąc kierować piśmie mającym tak wieloletnią tradycję, no ale nie można sądzić wszystkich według siebie...

Na początku br. sprawy potoczyły się już daleko szybciej. Oficjalnie poinformowane mnie o mającym się ukazywać tygodniku („sprawa tytułu jest jeszcze dyskusyjna” — słowa sekretarza Karczmarczuka). Przyjąłem ów fakt do wiadomości i poszedłem na dość długi zaległy urlop, sądząc, iż w ciągu półroczu sprawa zostanie definitywnie zatwierdzona. Nie została, wróciłem we wrześniu i, jak gdyby nic, dalej prowadziłem pismo. Przy końcu listopada usłyszałem, że „Kamena” zostaje od 1 stycznia zlikwidowana, a na jej miejsce będzie utworzony tygodnik o tytule „Unia”.

I tu już mnie poniosło! Mimo wszystko sądziłem, że rozsądek weźmie górę nad emocjami i tytuł „Kamena” (przy zmianie osoby redaktora naczelnego) zostanie zachowany, a wraz z nim i ciągłość ukazowania się pisma. Ci czy tamci mogą M. A. Jaworskiego nawet i nienawidzić, ale dla czego odium ma splotać również na sam tytuł?

Odwołałem się do prezesa ZG RSW „P-K-R”, wysłałem odpowiednie listy do prezesów zarządów głównych ZLP i SD PRL, a także jeszcze wyżej. Przede wszystkim jednak porozumiałem się telefonicznie z sekretarzem propagandy KW PZPR w Chełmie, tow. W. Szczasnym, który mnie zapewnił, że „nie damy zginać „Kamencie”: Chełm i tak ma wydawać kwartalnik, chętnie więc tytuł zaadoptuje”. Ucieszyło mnie, gdy później usłyszałem, że również i władze zamojskie widziałyby „Kamencę” u siebie. Przekonałem się, że w naszym regionie są również ludzie, którzy tradycję stawiają wyżej niż partykularne interesy. Dużym wsparciem moralnym stały się też dla mnie listy czytelników i współpracowników pisma. Pan Aleksander Zaczynski (Zakopane, willa „Chimera”) napisał: „Gwałtu, rety, co się dzieje? [...] Kto to słyszał, żeby tak szacownemu Pismu zmieniać tytuł? Ziła przeszłość, święta historia...” A pan Kazimierz Kaszper (Cieszyń, ul. Węgielna 1 m. 35) nie szczędził ciepłych słów: „Gratuluje gazety. Już od kilku miesięcy „Kamena” stanowi stały składnik mojej lektury. Stawiam ją obok „Polityki” i „Tygodnika Kulturalnego”. Ważne, drażące naszą państwową, a zwłaszcza moralną rzeczywistość, teksty!” Przeciwno zaprzestaniu wydawania dwutygodnika „Kamena” wypowiedział się też lubelski oddział Stowarzyszenia Autorów Polskich na swym walnym zgromadzeniu (o tym już wspominałem). Natomiast Zarząd Główny ZLP wyraził zaniepokojenie likwidacją „Kamena”, co zresztą, podał Dziennik Telewizyjny. W odpowiedzi Wydziału Propagandy KW PZPR w Lublinie spowodował wystosowanie listu przez sekretarza lubelskiego oddziału ZLP i sekretarza POP przy oddziale ZLP do (m.in.) PAP-u. Oba,

stwierdzili, że „Kamena” jednak będzie się ukazywać, choć jako kwartalnik. Jak i gdzie urodził się pomysł owego kwartalnika dopiero ja mogę z tego miejsca wszystkich poinformować.

I tu pozwolę sobie na małe porównanie. Zalóżmy teoretycznie, że władze postanawiają zlikwidować tygodnik „Polityka”. To znaczy — nie zlikwidować, ale przekształcić tygodnik w miesięcznik i przenieść go do Lublina. Redaktor naczelny Jan Bijak przechodzi na komentatora do „Trybuny Ludu”, Zbigniew Pietrasik do „Expressu Wieczornego”. Zamiast „Polityki” powstaje w Warszawie nowy tygodnik o tytule „Rewelacje”, w którego skład wchodzi 71 proc. dotychczasowego zespołu „Polityki”. W sumie stanowią oni 36 proc. zespołu nowego pisma, pozostali członkowie rekrutują się bądź z „Trybuny Ludu” (stamtąd przychodzi też nowy naczelny redaktor) bądź z innych redakcji. Kto stanie na czele tej nowej, lubelskiej „Polityki”, na razie nie wiadomo, w każdym bądź razie Jan Bijak stanowczo odmawia, zastanawia się nawet, czy wejść w skład projektowanej Rady Redakcyjnej. Niemniej jest zadowolony, że choć sam tytuł udało mu się ocalić...

Absurdalne porównanie? Może, ale wymowne. Zastanawia mnie, czy Ireneusz J. Kamiński z zespołu „Kamena” ma przejść do „Kuriera Lubelskiego” tylko dlatego, że kiedyś polemizował z F. Piątkowskim i ten nie widzi go w zespole nowego pisma? (I. J. Kamiński, świetny publicysta, jest autorem siedmiu książek, kilkakrotnym laureatem nagród dziennikarskich, a także laureatem wysokiej nagrody literackiej Ministerstwa Obrony Narodowej).

Opisałem sprawę i prosto i szczerze, bo tak nakazywał mi redaktorski obowiązek, a także własne sumienie. Dwadzieścia cztery lata w „Kamencie” nie spłynęły po mnie jak woda. Obserwowałem z niesmakiem jak pracownicy Wydawnictwa wywozili z lokalu redakcji archiwalne egzemplarze „Kamena”; poszłyby zapewne na makulaturę, gdyby nie prezes lubelskiego oddziału ZLP, który zgodził się je przechować. Dość pośpiesznie musiałem opróżnić „gabinę” dla redaktora naczelnego nowego tygodnika (który ostatecznie przyjął tytuł „Tygodnik Wschodni — Relacje”), a przy okazji trafiło w moje ręce wiele listów wybitnych pisarzy, których już nie ma wśród nas (lista nazwisk byłaby długa), odnalazłem również list od ojca Rafała Wojaczka, który zawiadamiał o śmierci swego syna i dziękował „Kamencie” za publikację jego wierszy. Cała historia dwóch tuzinów lat! Jestem jak chomik, ale musiałem przetrząsnąć na makulaturę wiele, gromadzonych przez lata, mniej wartościowych tekstów, choć może ich autorzy zajmą w przyszłości miejsce w literaturze. Niestety, pojemność naszych mieszkań też ma pewne granice.

Aby całkowicie odciąć się od tradycji „Kamena”, pozbyto się również portretu założyciela pisma — przekazano go lubelskiemu oddziałowi ZLP. Nowa redakcja w iście re(welacyjnym tempie zmieniła numery telefonów. Czyżby kierownictwo drażniły głosy czytelników pytających o motywy deportacji „Kamena” z Lublina i zmianę częstotliwości jej ukazowania się? Śmieszne to wszystko, jeszcze raz potwierdzające tezę, że Lublin to nie tylko grajdoł, ale supergrajdoł.

W sercu długo urazy nie noszę. Życzę „Relacjom”, w których zespole 36 proc. dziennikarzy będą stanowili byli pracownicy „Kamena”, jednego: zlikwidowania deficytu, ale proszę nigdy nie czynić analogii: „Kamena” miała taki nakład, a „Relacje” — taki. „Kamena” miała takie zwroty, a „Relacje” — takie. Nie można porównywać dwutygodnika do tygodnika, a „Kamena” — niestety, tygodnikiem być nie pozwolono.

Przed wszystkim życzę jednak kwartalnikowi „Kamena”, któremu zawsze mogą służyć radą, by zachowała pamięć — tak pisał gen. Wojciech Jaruzelski — o półwiecznym (dziś do tego dodajmy pięć lat) rodowodzie pisma, by nie straciła tych czytelników, których miał dwutygodnik, by zyskała grono nowych. Kto wie, może w przyszłości zaistnieje możliwość przekształcenia tej nowej „Kamena” w miesięcznik, jak to było w okresie przedwojennym...

Dziękuję tym wszystkim, którzy z dotychczasową „Kamena” współpracowali, którzy ją stale czytali, dziękuję pracownikom pisma. Jeśli zaś chodzi o mnie, to pióra nie lamie. Energię nie tracę. Optymizm także. Gdyby zaś ktoś chciał do mnie napisać, podaję adres: „Sztandar Ludu”, Lublin 1, skrytka pocztowa 178. List dotrze do moich rąk z całą pewnością.

PS. I uwaga, stawiająca kropkę nad „i”. Chełmską „Kamencę” ma finansować Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej, a nie RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Nie ona więc uratowała tytuł!

II PS. „Trybuna Ludu” doniosła, że ogłoszono konkurs na stanowisko redaktora naczelnego tygodnika „Odrodzenie”. W Tezach Biura Politycznego na X Plenum KC PZPR przeczytałem: „Z coraz większym zainteresowaniem i poparciem spotyka się konkursowy dobór kadr kierowniczych. Ta metoda wyłaniania kadr musi być odważnie, coraz szerzej stosowana także w działach pozaprodukcyjnych, zwłaszcza w nauce, oświacie, kulturze oraz dziennikarstwie (podkr. moje). Lublin, jak zwykle, nie nadąga...”

POLSKA potrzebuje więcej prądu, więcej ciepła i większej produkcji wszystkiego. W zasadzie trudno byłoby wymienić jakąkolwiek rzecz, której mamy w Polsce pod dostatkiem, może z wyjątkiem zanieczyszczeń: ścieków, śmieci i trujących, śmierdzących dymów z dwutlenkiem siarki, które niszczą nasze lasy, miasta i wyzerają nam płuca. Wydawać się może dziwne, że brakuje nam prądu, że wyłącza się z sieci całe dzielnice, wsie i fabryki, podczas gdy z liczbą stu dziewięćdziesięciu milionów ton węgla kamiennego wydobywanego rocznie zajmujemy w tej mierze dobre, czwarte miejsce na świecie (za Chinami, USA i Związkiem Radzieckim). Zaś w przeliczeniu na jednego mieszkańca — miejsce drugie, za Australią. Przewidujemy także w tzw. dynamice wzrostu wydobycia. W latach 1970—1984 wydobycie węgla w świecie wzrosło zaledwie o 3 proc., z 580 kilogramów na głowę do 598 kg. W Polsce natomiast zwiększyło się aż o 20 procent — z 4307 do 5190 kilogramów na osobę. A zatem nasze wydobycie roczne jest 8,7 raza wyższe od średniej światowej.

Równie dobrze wypadamy w międzynarodowej konkurencji, jeżeli porównamy naszą zasobność we wszystkie surowce energetyczne i ich wydobycie. A chodzi tu, oprócz węgla kamiennego, także o węgiel brunatny, gaz, ropę naftową i torf. Chociaż oprócz obu węgli nie posiadamy prawie niczego w liczących się ilościach, to jednak zajmujemy w światowej produkcji surowców energetycznych 9 miejsce w skali globalnej, a 15 miejsce w przeliczeniu na jednego mieszkańca. W tej mierze wyprzedza nas tylko sześć krajów naftowych (co oczywiście) oraz osiem państw wysoko rozwiniętych. Nasze piętnaste miejsce sytuuje nas tuż za Wielką Brytanią (posiadającą, jak wiemy, własne złoża naftowe), która wyprzedza nas zaledwie o 412 kilogramów. My wydobywamy rocznie 4732 kg na głowę, a Anglicy 5144 kilogramy surowców energetycznych. Toteż może wbić nas w dumę pewne porównanie z najbardziej uprzemysłowionymi państwami Europy i świata. Produkcja surowców energetycznych (a jest to przede wszystkim węgiel) na głowę jest w kraju wyższa od kilku do kilkunastu razy (!) niż we Włoszech (486 kg per capita), Francji (1034 kg), Szwajcarii (865 kg uzyskane prawie w 70 proc. z energii wodnej) czy wreszcie Japonii (369 kg na osobę).

Te dane świadczą wymownie o jednym: Polska należy do krajów najbardziej bogatych w tzw. nośniki energii pierwotnej, i to zarówno w sensie globalnym, w przeliczeniu na jednego mieszkańca, czy wreszcie w przeliczeniu na jednostkę dochodu narodowego. Dlatego powiedzmy otwarcie: w naszym kraju nie istnieje problem niedoboru energii, jesteśmy w nią bogaci, nawet bogaci niezmiernie, i problem braku prądu czy braku węgla opałowego nie powinien w Polsce w ogóle istnieć. A jednak istnieje. Co więcej, mówi się wręcz o zapaści energetycznej. Np. zdaniem ministra przemysłu, Mieczysława Wilczka, niedobór energii jest głównym progiem niewydolności naszej gospodarki i bez trzykrotnego zwiększenia produkcji prądu nie mamy co marzyć o dogonieniu najbogatszych państw, co jest wszak marzeniem każdego obywatela PRL. O ile bowiem w wydobyciu nośników energii na mieszkańca zajmujemy piętnaste miejsce w świecie, to w produkcji energii elektrycznej na głowę sytuujemy się już w trzeciej dziesiątce. Wyprzedzają nas m. in. Singapur, Bułgaria, Czechosłowacja, Kuwejt i Finlandia, że nie wspomnę o takich potentatach gospodarczych, jak Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Japonia i ZSRR. Na tej podstawie można sformułować pierwsze prawo rozwoju gospodarczego Polski:

obfitość węgla nie oznacza jeszcze obfitości prądu.

Jaka jest tego przyczyna? Za dużo zużywamy węgla w postaci nieprzetworzonej, czyli — palimy pod kucheniami i w piecach. Za mało natomiast wytwarzamy z węgla prądu. Zamiast bowiem spalać węgiel pod kuchenią (8 proc. sprawności), bardziej opłaca się wytworzyć energię elektryczną i jej używać do gotowania. Fachowo powiada się na ten temat, że prąd „posiada wyższą jakość w sensie zdolności wykonywania pracy i kreowania dochodu”. Brzmi to dość zawiłe, a chodzi tutaj po prostu o stwierdzenie, że o ile ze spalania węgla uzyskuje się tylko ciepło, to prądem można, oprócz ogrzewania, napędzać silniki, oświetlać i stosować go w urządzeniach łączności. Zamiast więc dostarczać węgiel na wieś,

bardziej racjonalnie i ekonomiczniej byłoby dostarczenie rolnictwu większej ilości prądu i odpowiednich urządzeń gospodarczych i domowych zasilanych prądem.

Dla zilustrowania tej tezy posłużę się przykładami ze znakomitej książki Stanisława Albinowskiego „Pulapka energetyczna gospodarki polskiej” (KAW, 1988). „Otóż ekwiwalentem cieplnym 1 kWh jest 0,123 kg paliwa umownego, czyli 0,15 kg najlepszego węgla energetycznego. Zastanówmy się teraz, ile wody można zagotować, ogrzewając czajnik przez 20 godzin na kuchence elektrycznej o mocy 500 W, a ile — spalając 1,5 kg węgla pod płytą kuchenną?”. Albinowski podaje jeszcze

domowych i parnikach. Symbolem tego zacofania bywają kilkudniowe kolejki chłopskie po węgiel. Toteż w przeliczeniu na jednego mieszkańca produkujemy prądu tyle, ile wytwarzano w rozwiniętych krajach kapitalistycznych 20—25 lat temu. I na tyle lat oblicza się nasze opóźnienie pod względem elektroenergetycznego wyposażenia gospodarki.

Stanisław Albinowski podaje w swojej książce jeszcze jedną znamieną liczbę, która dobitnie zaświadcza o polskim zapóźnieniu cywilizacyjnym. Otóż powyższe dane statystyczne zawierają te porównania na naszą korzyść, ponieważ dotyczą produkcji

Jednocześnie Polska uważana jest powszechnie na świecie za kraj najbardziej zdevastowany ekologicznie i na dodatek taki, który nie potrafi o własnych siłach zapanować nad sytuacją — a ta z roku na rok pogarsza się i zagraża krajom sąsiednim. Np. w Szwecji poważnie myśli się, aby wybudować w Polsce, na własny koszt, sieć oczyszczalni ścieków, zwłaszcza w aglomeracjach nadmorskich, gdyż uważa się, że jest to jedyny sposób uratowania życia biologicznego w Bałtyku.

Jak powiedziano podczas debaty sejmowej nad rządową informacją o realizacji ustawy o ochronie i kształtowaniu środowiska w marcu br., „rezultaty są niewspółmierne wobec społecznego oczekiwania, a wzrost emisji SO₂ — alarmujący”.

Marek Chmielewski pisał w artykule „Atmosfera” w 36 numerze „Przeglądu Technicznego” z tego roku: „Gina zwierzęta i ptaki, niszczy i zanika roślinność. Zagrożone są przede wszystkim naturalne siedliska i tzw. zasoby genowe, warunkujące odtworzenie i zachowanie gatunków narażonych na wyginiecie. Najgroźniejszą przyczyną tych zagrożeń są niekorzystne zmiany zachodzące w lasach. Zjawisko to przybrało już w Polsce na znacznych obszarach charakter katastroficznego. W Sudetach, Górach Świętokrzyskich i zachodnich Karpatach usychają od zanieczyszczeń gazowych całe kompleksy leśne. Powierzchnia lasów zagrożonych, uszkodzonych i chorych niebezpiecznie rośnie i może — a to jest niebezpieczeństwo bardzo realne — objąć do roku 2000 połowę całego arealu lasów, jakże dziś skromnego. Wskaźnik lesistości w Polsce jest (27,7 proc.) niższy niż w Europie (31 proc.) i na świecie (30,5 proc.). W ciągu ostatnich 20 lat zwiększyła się czterokrotnie (!) powierzchnia lasów chorych, często ginących niedwracalnie” (jak w Sudetach).

Spośród wszystkich źródeł emisji trujących gazów i pyłów wymienia się zdecydowanie na pierwszym miejscu elektrownie, które w Polsce spalają ok. 110 milionów ton węgla (w tym 73 miliony t węgla brunatnego o bardzo niskiej kaloryczności). Na drugim miejscu znajdują się huty, dalej koksownie, przemysł chemiczny (papiernie, rafinerie, przemysł azotowy) i środki transportu, które odpowiadają za 15 procent globalnej emisji gazów. Pomija się w tym zestawieniu gospodarstwa domowe w miastach i gospodarstwa rolnicze. A niesłusznie! W roku 1987 dostarczono na rynek wewnętrzny 31 milionów ton węgla kamiennego, który został spalony w niskowydajnych paleniskach domowych. A zatem za zanieczyszczenie powietrza odpowiada w Polsce przede wszystkim węgiel; elektrownie, huty, koksownie i gospodarstwa domowe mają największy procentowy udział w emisji dwutlenku siarki, najbardziej zjadliwej, toksycznej trucizny, która powoduje tzw. kwaśne deszcze, odpowiedzialna jest za śmierć lasów, korozję (niektórzy twierdzą, że 10 procent dochodu narodowego tracimy rocznie wskutek korozji) i niszczenie zabytkowej substancji naszych miast, spośród których los Krakowa urosł do rangi symbolu. Zanieczyszczenia — to także skażona żywność. Ocenia się na przykład, że od 18 do 80 procent nabiału (w różnych rejonach kraju) nie nadaje się właściwie do spożycia. A jednak jemy te sery i masło naszpikowane ołowiem, azotem i siarką, bo jakie mamy inne wyjście?

Toteż coraz powszechniejsze uznanie w kręgach decydenckich zyskuje przekonanie, że jedynym wyjściem z pulapki energetycznej jest energetyka jądrowa. I wymienia się jej następujące zalety: czystość, bezawaryjność (tak, tak! Są uczeni, którzy upierają się, że elektrownie atomowe są całkowicie bezpieczne, mimo przykładu Czarnobyla) oraz taniłość. Wprawdzie budowa takiej elektrowni jest bardzo kosztowna (6—8 miliardów dolarów na Zachodzie), jednak taniłość eksploatacji i paliwa powoduje, że w rachunku końcowym prąd z takiej elektrowni ma być tańszy niż z konwencjonalnej. Geolodzy i specjaliści od górnictwa węglowego operują jeszcze jednym argumentem na rzecz rozwoju atomistyki. Otóż węgiel w Polsce jest w zasa-

ciąg dalszy na str. 4

Atomowy koń trojański

Andrzej W. Pawluczuk



Kazimierz w erze przedatomowej.

Fot. Waldemar Stępień

dwa przykłady z dziedziny makro-gospodarczej. Np. fakt, że w latach 1960—1980 udział linii zelektryfikowanych wzrósł w Polsce z 4,3 proc. do 28,3 proc. — a to spowodowało dwukrotne zmniejszenie energochłonności przewozów kolejowych (w przeliczeniu na tzw. tonokilometr). Wreszcie po trzecie, szokujące dane z dziedziny wytwórczości przemysłowej, wyciągnięte w Stanach Zjednoczonych na podstawie analizy kosztów produkcji 350 różnych wyrobów fabrycznych. Otóż stwierdzono, że jeżeli udział prądu w zużyciu energii potrzebnej do wytworzenia danego przedmiotu wzrasta tylko o 2 procenty, np. z 24 do 26 — wówczas całkowita energochłonność produkcji tego wyrobu obniża się przeciętnie o ponad 18 procent. Toteż w wysoko rozwiniętych krajach Zachodu węgla nie spala się pod kuchenią, by 92 procent ciepła uleciało przez komin. Tam prawie cały wydobywany i sprowadzany zza granicy węgiel kamienny zamieniany jest w elektrowniach w prąd. I tak na przykład w Stanach Zjednoczonych na produkcję energii elektrycznej zużyto w 1973 roku 81 procent całej krajowej podaży paliw stałych, w roku 1980 ten wskaźnik wzrósł do 89 proc. i dzisiaj, po siedmiu latach, przekroczył zapewne 90 procent. Również około 90 procent węgla, jaki wydobywa się w Kanadzie, zostaje spalane w elektrowniach. Niemal cała energetyka oparta jest na węglu także w Australii i Republice Południowej Afryki, a więc w krajach, gdzie liczy się dobrze wartość pieniądza i gdzie zarazem przywiązuje się ogromną wagę do problemów ochrony środowiska naturalnego.

A w Polsce? Jesteśmy w tej mierze daleko w tyle, chociaż w potocznym mniemaniu elektrownie węglowe uchodzą za symbol zacofania. Otóż w bogatej w węgiel kamienny i brunatny Polsce spala się w elektrowniach zaledwie 43 procent całości paliw stałych. Wprawdzie w porównaniu z rokiem 1970, kiedy ten wskaźnik wyniósł zaledwie 28 proc., zrobiliśmy niemały postęp, ale i tak wobec przodujących gospodarczo państw kapitalistycznych można mówić o naszym zacofaniu energetycznym. Zamieniamy bowiem na prąd dwa razy mniej węgla, niż robi się to gdzie indziej, spalamy go natomiast w prymitywnych, mało wydajnych kuchniach, piecach

brutto, to znaczy tej ilości energii, którą wykazują przyrządy pomiarowe zainstalowane u producenta, czyli w elektrowniach. Tymczasem i same elektrownie zużywają niemało prądu i marnuje się on także w sieci przesyłowej. Te straty są w Polsce dużo większe niż w innych krajach, wynoszą bowiem 20 procent całej, globalnej produkcji prądu, podczas gdy np. w RFN tylko 10 procent. A zatem według drugiego prawa rozwoju ekonomicznego Polski Ludowej niedostatek energii elektrycznej wynika z nieracjonalności gospodarowania węglem i zacofania technicznego.

Aby więc zrównać się ze światem pod względem podaży energii elektrycznej, należałoby pójść wypróbowaną, sprawdzoną drogą najwyżej rozwiniętych państw kapitalistycznych. A zatem węgiel, spalany dotąd w gospodarstwach domowych w mieście i na wsi, należy skierować do elektrowni, a do mieszkań i domów wiejskich dostarczyć energię w postaci prądu elektrycznego. Tak rozwijał się cały świat i efekty takiego rozwoju są chyba na tyle przekonujące, że nie powinniśmy w tej mierze eksperymentować. Kraje o najwyższej efektywności gospodarowania i najmniejszej energochłonności dochodu narodowego uzyskały swój wzrost gospodarczy dzięki energii elektrycznej uzyskiwanej ze źródeł konwencjonalnych.

Za takim rozwiązaniem przemawiają trzy podstawowe fakty. Po pierwsze — węgla mamy jeszcze dosyć, a zmniejszając tzw. energochłonność produkcji, możemy z mniejszej ilości paliwa uzyskać wyższe efekty ekonomiczne. Po drugie — budowę elektrowni konwencjonalnych opanowaliśmy w stopniu dostatecznym i umiemy je bezawaryjnie eksploatować. A wreszcie trzecim argumentem są doświadczenia krajów, które pod względem cywilizacyjnym wyprzedzają nas zdecydowanie: USA, Japonia, RFN, Wielkiej Brytanii, Australii i Kanady. Nie wolno lekceważyć takich przykładów, jeżeli nie chcemy w nie-skończoność popielniać błędów w gospodarowaniu.

Atomowy koń trojański

Ciąg dalszy ze str. 3

dzie na wyczerpaniu. Jest to oczywiście rzecz względna, a dotyczy nie tyle globalnych zasobów geologicznych, ile naszego sposobu pozyskiwania węgla. Polska technologia górnicza jest bowiem na takim poziomie, że na jedną tonę węgla wydobytego na powierzchnię przypada 3-5 ton węgla utraconego bezpowrotnie. Po prostu pokłady trudniej dostępne omija się, wybierając węgiel z myślą o wykonaniu bieżących planów. Co będzie jutro? O tym nikt nie myśli, toteż szacuje się, że około roku 2020 węgla może w ogóle w Polsce zabraknąć.

A zatem — energetyka atomowa? Wydawałoby się, że argumenty za jej wprowadzeniem do Polski i rozwojem są niepodważalne. Jej zdecydowanym zwolennikiem jest m. in. minister przemysłu, Mieczysław Wilczek, który dziennikarzom „Przeglądu Tygodniowego” powiedział, że nie można przeskoczyć etapów rozwoju. W myśl tej opinii, energetyka jądrowa jest logiczną i konieczną kontynuacją dotychczasowej linii rozwoju cywilizacyjnego. W rozmowie z dziennikarzem „Polityki”, Andrzejem Mozołowskim, minister był bardziej kategorię. Powiedział wprost: „Na dalszą metę: energię będziemy musieli oprzeć na elektrowniach jądrowych. Wiem, będą protesty. Zieloni protestują na całym świecie, np. we Francji: tylko że Francja 70 proc. energii czerpie z elektrowni jądrowych! My nie mamy jeszcze ani jednej. Ale u nas już protestują. Jeżeli jeszcze biskup mi tu pisze, bo napisał, że jest przeciw, ja jestem gotów go zrozumieć: to jest człowiek szlachetny, chce dobrze, ale na energię jądrową się nie zna. Ale jak mi inżynierowie takie dyrdymały piszą, to ja takich inżynierów nie potrzebuję. Musimy się zdecydować: albo żyć po ludzku i z energią atomową, jak cały cywilizowany świat, albo do pięczary i luczyno”. I jeszcze jeden cytat z wywiadu udzielonego „Przeglądowi Tygodniowemu”: „I tu wracam do sprawy elektrowni jądrowych. Na świecie są one podstawą energetyki. I tam mają energię po dziurki w nosie oraz ruchy ekologiczne”.

Przykro jest przylapać ministra na ewidentnym mijaniu się, delikatnie mówiąc, z prawdą. Gorzej, gdy do rozmowy z ministrem stają nieprzygotowani dziennikarze, bo wówczas nie potrafią odeprzeć oczywistych przekłamań i błędów. A więc wyjaśnijmy najpierw, że na świecie podstawą energetyki są w dalszym ciągu elektrownie konwencjonalne. Według danych zawartych w Małym Roczniku Statystycznym wydanym przez Główny Urząd Statystyczny (Warszawa 1988), zaledwie 15 procent energii elektrycznej w roku 1985 uzyskiwano z siłowni atomowych. A zatem mniej niż jedną szóstą! Są na świecie tylko dwa państwa, o których powiedzieć można uczciwie, że elektrownie jądrowe są tam podstawą energetyki, to znaczy — dają więcej niż połowę prądu. To Belgia ze wskaźnikiem 60,4 procenta i Francja ze wskaźnikiem 65,1 procenta. W pozostałych wysoko rozwiniętych krajach kapitalistycznych odsetek energii elektrycznej pozyskiwanej z siłowni atomowych wygląda następująco: Japonia — 23,7; Wielka Brytania — 20,3; Stany Zjednoczone — 15,4; RFN — 31,5; Kanada — 13,3; Holandia — 6,2; Włochy — 3,8; Republika Południowej Afryki — 3,2; Australia — 0; Nowa Zelandia — 0; Dania i Austria — 0; Norwegia — 0.

Drugie nieporozumienie polega na tym, że min. Wilczek mylnie rozumie logikę rozwoju cywilizacyjnego. Otóż — uwaga! — elektrownie jądrowe zaczęto budować w tych krajach dopiero wówczas, kiedy wyczerpano możliwości rozwoju energetyki opartej na paliwach stałych. Najpierw więc — i na tym akurat polega rozwój i nie przeskakiwanie etapów — doprowadza się do maksymalnej sprawności i wydolności energetykę węglową, czyni się ją — jak na Zachodzie — czystą, a dopiero później myśli się o elektrowniach atomowych. Właśnie taką drogą szedł cywilizowany świat,

i to akurat Polska, usiłując zbudować u siebie atomistykę, próbuje przeskoczyć konieczny etap rozwoju.

Argument, że elektrownie węglowe zatrują powietrze, jest nie do przyjęcia w sytuacji, gdy nie stosuje się elektrofiltrow, które zatrzymują aż 99 procent pyłów. Zaś spalanie węgla w tzw. kotłach fluidalnych z paleniskiem cyrkulacyjnym ogranicza emisję SO₂ o 90 proc.! W kotłach takich można spalać dosłownie wszystko: odpady komunalne i przemysłowe, a także odpady pozostałe po procesie wzbogacania węgla. Właśnie elektrownia wyposażona w takie kotły i elektrofiltrowy potrzebna jest w okolicach Lublina, ponieważ lubelski węgiel jest tak marny, że potrzebuje obróbki wzbogacającej. Odpady byłyby wykorzystane na miejscu, a wysokoenergetyczny węgiel mógłby jechać w kraj. W wysoko rozwiniętych krajach, gdzie stosuje się tzw. rachunek ekonomiczny ciągniony, obliczono, że straty w środowisku naturalnym i zdrowiu ludzkim są o wiele kosztowniejsze niż najdroższe instalacje ograniczające emisję trujących spalin. Tylko że, jak dotąd, w gospodarce socjalistycznej taki rachunek jest nie znany. A skutki — widzimy wokół siebie.

W sytuacji, kiedy nie potrafimy postawić na europejskim poziomie energetyki konwencjonalnej i uporać się z zanieczyszczeniem środowiska, projekty budowania i eksploataowania elektrowni atomowych budzą grozę w każdym, kto zna stan naszej gospodarki i techniki. Kraj, który produkuje gorsze niż „za sanacji” kosy, szpadle, plugi, żarówki, rowery, który nie potrafi skonstruować samochodu europejskiej klasy, który nie potrafi sprawić, aby pociągi jeździły punktualnie, a w sklepach było pod dostatkiem sera (technologia znana od stuleci) — taki kraj porzywa się na postawienie paru elektrowni jądrowych. I na dodatek minister odpowiedzialny za rozwój przemysłu używa kłamliwych argumentów. To prawda, że potrzeba nam trzy razy więcej prądu niż mamy go obecnie. Ale zarazem energochłonność naszego dochodu narodowego jest trzy razy wyższa niż w tych krajach, gdzie elektrownie atomowe działają niemal bezawaryjnie.

Powróć jeszcze do cytowanej książki Albinowskiego: „W przeliczeniu na węgiel kamienny marnuje się u nas ok. 122 miliony ton, a więc ponad 60 procent wydobycia”. To znaczy — że te 122 miliony ton rocznie ulega spalaniu, ale efektów ekonomicznych nie mamy z tego żadnych. Ta energia, zamiast na wytworzenie dóbr materialnych, idzie po prostu w powietrze i to jest miarą poziomu technologicznego i cywilizacyjnego polskiej gospodarki narodowej.

„Fakt ten — pisze Stanisław Albinowski — nie oznacza oczywiście, że obecny dochód narodowy moglibyśmy osiągnąć przy zużyciu energii zmniejszonym ze 170 do 70 milionów ton paliwa umownego. To byłoby niemożliwe już choćby z tego względu, że pewna — dość duża — część energii jest zużywana niezależnie od poziomu czy dynamiki dochodu narodowego. Wylczenie nasze oznacza natomiast, że przy tej ilości energii, jaką obecnie zużywamy, nasz dochód narodowy powinien być ok. 3 razy większy”.

Dlatego nie jestem przekonany, że inżynierowie, którzy przystali ministrowi Wilczkowi protest przeciwko rozwojowi energetyki jądrowej. „Piszą dyrdymały”. Każdy, kto poznał system polskiej, nibysocjalistycznej pracy, powinien przeciwko temu protestować, ponieważ właściwie niczego do tej pory, przez czterdzieści powojennych lat, nie potrafiliśmy zbudować w Polsce w taki sposób, aby funkcjonowało bez zarzutu. Trzeba zgodzić się z opinią Józefa Tischnera, że polska praca jest chora. Dlatego ludzie się boją, lękają się połączenia radzieckiej technologii ze słynnym polskim bractwem.

I sekretarz Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR w Kazimierzu Dolnym powiedział mi:

— Gdyby ludzie widzieli przez czterdzieści lat, że w Polsce buduje się dobrze, niezawodnie i mądrze, nikt by nie protestował.

ZOKAZJI świąt Bożego Narodzenia chciałbym podarować czytelnikom informację, że zarówno w całym kraju, jak i na Lubelszczyźnie, bezrobocia jeszcze nie ma. Obawiam się wszakże, że wiadomość ta nie spotka się z powszechną wdzięcznością, albowiem wielu obywateli, głównie tych dobrze sytuowanych, właśnie w bezrobociu upatruje remedium na nasze trudności gospodarcze, powodowane m.in. niską wydajnością pracy i jej kiepską jakością. Zwolennicy tego poglądu, sprawdzonego w rozwiniętych krajach świata, wychodzą z prostego założenia, że robota szanowana pod przymusem ekonomicznym będzie się ludziami palić w rękach, a naturalna selekcja urealni wreszcie kryteria społeczno-gospodarczej przydatności człowieka, gilotynując po drodze zwierzę pt. nomenklatura. Owszem, przy okazji pojawiają się różne problemy i konflikty społeczne, chyba i polityczne, ale cóż — mówię się — będzie to tylko świadectwem, że życie nasze stało się autentyczne, pluralistyczne, demokratyczne — normalne.

Argumentów przeciwników bezrobocia nie będę streszczał, bo mają one głównie charakter ideologiczny, zakorzenione są w ogólnie znanych ustępach Konstytucji PRL i dość jeszcze żywym przywiązaniu wielu obywateli do naszej tradycji socjalistycznego egalitaryzmu.

Tymczasem bezrobocia nie ma. Według rzetelnie sporządzonej statystyki Wydziału Polityki Kadrowej i Zatrudnienia UW w Lublinie, liczba miejsc pracy, zgłoszonych od odpowiednich organów administracji przez zakłady produkcyjne czy instytucje województwa, wynosiła średnio w kwartałach tego roku aż 13 594.

Inna sprawa, że oferta ta w porównaniu z 1987 r. była niższa o przeszło 8800 miejsc (39,4 proc.).

Jednocześnie zmalała przecież, i to mocno, o 72,9 proc., grupa osób zarejestrowanych w poszukiwaniu pracy. Przeciwnie pod koniec każdego kwartału br. obejmowała ona 218 obywateli, przy czym w zdecydowanej większości były to kobiety.

Dlaczego kobiety mają większe trudności z uzyskaniem pracy?

Sprawa jest prosta, znana od lat: bo zakłady potrzebują mężczyzn, przede wszystkim wykwalifikowanych robotników, gdy tymczasem niewiasty zainteresowane są zwykle pracą określaną eufemistycznie jako umysłowa.

Poszukiwani są murarze, tynkarze, betoniarze, stolarze, cieśle, monterzy, hydraulicy oraz ślusarze, spawacze, frezerzy, tokarze itp.

Najwięcej ofert przyjętych do realizacji przez wydziały zatrudnienia zgłaszają takie działy gospodarki, jak: przemysł (34,2 proc.), budownictwo (15,9), handel (11,2), transport i łączność (7,8), gospodarka komunalna (5,9).

Zwykle bezowocne są próby znalezienia pracy w kulturze czy administracji. Wspomnijmy przy okazji, że w lubelskim Urzędzie Wojewódzkim zlikwidowano w ostatnich latach siedem wydziałów, czyli 78 etatów. Urzędnicy wszędzie dziś zresztą siedzą jak na szpilkach, w każdej chwili spodziewając się wypowiedzenia.

Mówi się zatem, że reforma gospodarstwa staje się ciałem.

Tymczasem bezrobocia jeszcze nie ma, choć już wyobrazić sobie można inteligentnego humanistę, który po przekwalifikowaniu na hydraulikę próbuje rozwikłać egzystencjalną zagadkę muszli klozetowej.

W świątecznym nastroju będąc, wypada przecież podać do wiadomości strapionych, że nowy zawód można zdobyć prawie darmo, na koszt istniejącego Funduszu Aktywizacji Zawodowej, z którego obecnie korzystają głównie mieszkanki Puław, Swidnika czy Krańnika, gdzie występuje szczególnie dotkliwy deficyt miejsc pracy dla kobiet. Fundusz wspiera ponadto, przykładowo, spółdzielnie krawieckie, finansując zakupy maszyn i szkolenie ludzi, których wcześniej wykształcono w zupełnie innym celu, albo takich, jacy w ogóle nie posiadają kwalifikacji zawodowych.

Z możliwości stworzonych przez Fundusz skorzystało też wiele osób zatrudnionych swego czasu w zjednoczeniach gospodarczych, które uległy likwidacji.

Poszukiwanie zbieżności

Piotr Beck

ZAWSZE lubiłem rozmawiać z Anglikami. Ich pokretna moralność — światopoglądowa (gdzieś indziej mógł ktoś wyłansować przysłowie „Wszystko jest dozwolone na wojnie i w miłości”) stanowi wymarzony kontrast do naszych „drgnięć duszy”. Takie zetknięcie z twardym pragmatyzmem to naprawdę doskonałą kuracją dla gorących głow. Mój ostatni rozmówca nie był Anglikiem stuprocentowym. Choć nie mówił po polsku, domieszka naszej krwi czyniła go bardziej dociekliwym, intelektualnie w Polskę zaangażowanym. Gdyby nie ów postłowiński zew nie miałibyśmy zapewne o czym rozmawiać. U nas bowiem już od dawna nie mówi się o przystrzygnięciu trawników, a u nich o poezji. To był mój pierwszy argument, moja „gruba Berta”.

Zaczął się jednak od frontalnego ataku. Ze u nas ciemno, że sklepy puste, klatki schodowe obsmarkane, a ludzie przygaszeni. Tego nie kwestionowałem, ale konieczność totalnej emigracji, jako remedium na ów stan rzeczy, nie przypadła mi do smaku. „Człowiek ma jedno życie i powinien przeżyć je jak najwygodniej”. Czy to jednak jedyna opcja? Dlaczego nie, na przykład, najodradziej, najpełniej, najciekawiej? Kiedy Bernard Margueritte powiedział w wywiadzie dla naszego

pisma, że „największym bogactwem jest Polak”, to Hamilton w „Kulturze” zareplikował, że Polak to brudas i balaganiarz. Tak to racjonalizm z duchem się rozmija i to z obu stron. Czy warto bronić ducha? Nie wiem. Nikt tego jeszcze nie rozstrzygnął do końca, a wątpliwości systematycznie rosną. Ale to wyłącznie powierzchowne widzenie świata też ma luki i dysonanse. Nie mógł zatem mój rozmówca zrozumieć różnicy między narzekaniem na codzienność a poczuciem dziejowej przynależności, między pochwałą dóbr a przywiązaniem do społecznych ambicji, między zmęczeniem codzienną udręką a niechęcią do zasobnej izolacji. Nie jestem generalnie przeciwnikiem emigracji, lecz uważam, że nie wszyscy się do niej nadają. Powtarzane kilkakrotnie do towarzyszącej nam dziewczyny pytanie: „Dlaczego nie wyjeżdżesz?” i odpowiedź: „Bo tu jestem kimś” miały swoją wymowę.

Przypomniało mi się moje pierwsze zetknięcie z Irakiem. Był to również szok pierwszorzędnym, Irytował chaos w zasadach współżycia, bałagan na chodnikach i niezależna już od mieszkańców księżycowość krajobrazu. A jednak nauczyłem się z czasem cenić własną drogę tego narodu, drobne, nadmuchane ciepłem nawyki codzienności, swoistą logikę postaw i działań. Każdy

Z kolei osoby, które z oczywistych powodów nie mogą okresowo podjąć żadnej pracy, np. niepełnosprawne, mogą liczyć na zasiłki z kasy państwowej, stębnowane prawem do kartek żywnościowych. Przed tym okienkiem nie ma jednak tłoku.

Kto posiada jakiś konkretny fach w ręku, ten powinien wiedzieć, że czekają nań w takich miejscach, jak: Fabryka Samochodów Ciężarowych Zakłady Metalurgiczne „Ursus”, kopalnia

gan, potęgające się chamstwo i agresję, młodzieżowe gangi i cynicznych aferyzistów.

Dlaczego jednak w podstawowych działach gospodarki brakuje pracowników?

Przyczyn jest kilka: ciągle ekstenzywny charakter naszych podstawowych struktur produkcyjnych, opartych na przestarzałym, wyeksploatowanym parku maszynowym i muzealnych technologiach, co zmusza za-

dział UW. Praktyka poświadcza że w tzw. grupach partnerskich nie ma fluktuacji i miejsca dla nierobów, natychmiast wyrzucanych na aut wolą sprawnie rachującej brygady. Są natomiast: bardzo dobra organizacja i wysoka wydajność pracy, godziwe zarobki ludzi, zatem — same korzyści dla przedsiębiorstwa, które może oto zredukować zatrudnienie do racjonalnego poziomu, nie mówiąc o innych i oczywistych pożytkach, jakie całym fir-

matną działką i dogodny kredyt budowlany, a do czasu ewentualnego wzniesienia własnej chaty — mieszkanie wynajęte na koszt gminy. Ale oni nie tylko miasta się kureczowo trzymają, choćby ukończyli Akademię Rolniczą.

Nie mam zamiaru komentować tej sytuacji. Przepomnę tylko, że już przy końcu lat sześćdziesiątych socjologowie ostrzegali przed wyludnieniem wsi, jeśli nią zostanie ona wyposażona w dobra cywilizacyjne i kulturalne —

Bezrobocia jeszcze nie ma

Tadeusz Graba

węgla w Bogdanie, Lubelskie Zakłady Naprawy Samochodów, Przedsiębiorstwo Zagraniczne Inter THP Jeziorzany, Fabryka Łożysk Tocznych w Kraśniku, Zakłady Remontowe Energetyki w Lublinie i Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji tamże.

Powtórzmy: robota ciągle jeszcze szuka człowieka, choć nie każdego. W okresie pierwszych dziewięciu miesięcy bieżącego roku zakłady proponowały ogółem 40 783 stanowiska pracy, a przyjęły 24 936 osób. Znacząco, że ich potrzeby zostały zaspokojone w 61,1 proc. Najgorzej sytuacja przedstawia się w budownictwie (53,4 proc.), transporcie i łączności, gospodarce komunalnej, przemyśle i handlu (w tym ostatnim dziale — 67,8 proc.). Nie potrzeba chyba konkretyzować fatalnych skutków owych braków kadrowych dla normalnego funkcjonowania zakładów produkcyjnych i usługowych, a tym samym dla fizycznej, psychicznej i moralnej kondycji społeczeństwa. Zamiast obfitości dobrych towarów, zamiast sprawnej komunikacji i rzetelnej obsługi klienta, mamy niedostatek, bala-

klady do angażowania nadmiernych (w porównaniu z zachodnim modelem sprawy) sił fizycznych; plaga absencji z różnych powodów, która w ciągu jednego roku marnuje tyle czasu pracy, jaki odpowiada normie 12 tys. robotników województwa; płynność kadr, dobitnie ilustrowana faktem, że co piąty pracownik przemysłu i co czwarty budownictwa zmienia w ciągu roku firmę.

Takie wyjaśnienie zjawiska jest zgodne, owszem, z rzeczywistością, ale miejscami przypomina „poplątanie z pomieszaniem” — czego? Logiki opartej na zasadzie, że przyczyna poprzedza skutek. No bo dlaczego taki murarz porzuca ścianę, przy której ewentualnie obowiązuje większa niż gdzie indziej dyscyplina pracy? Proste: bo ma szerokie możliwości wyboru roboty. A jeśli tak, to wybiera firmę o większym luzie, w której można pokombinować i ponygusować troszeczkę.

Jest na to lekarstwo: brygadowy system pracy, mocno zresztą propagowany przez wojewodę i wspomniany wy-

mom i całej gospodarce przynosi wiadomy system.

Niestety, na przeszkodzie szerokiemu rozpowszechnieniu idei grup partnerskich stoją kolejne braki: surowców i materiałów. Trzeba wiedzieć, że podstawą powołania i działania takiej brygady jest umowa, podpisana przez jej lidera i dyrektora zakładu, który rygiem skutków prawno-ekonomicznych zobowiązany jest do zapewnienia grupie m.in. surowców i materiałów. A tylko nieliczne zakłady mają takich dóbr pod dostatkiem.

Osobny problem to zatrudnienie absolwentów szkół wyższych. Otóż świeżo ugotowani magistrowie jakoś nie chcą pojąć, że w interesie ogólnospołecznym leży, by popracowali sobie w gminach, wioskach czy w przycupniętych na odludziu osiedlach. Patrzą na sprawę subiektywnie w indywidualnie skróconej perspektywie atrakcyjnego, jakoś tam urozmaiconego, zatem miejskiego życia. Nie wabią ich resortowe przywileje, które dyplomowanym osiedleńcom na wsi gwarantują: 200 tys. zł pożyczki na zagospodarowanie, bez-

choćby zbliżające tamtejsze warunki egzystencji do miejskich standardów. Te głosy nie dotarły zapewne do decydenckiej świadomości, skoro młodzież chłopska nadal ucieka spod eternitów, a jej dyplomowani rówieśnicy nie garną się do pracy na wsi.

Sporo zresztą ciekawych momentów polyskuje w tej naszej polityce rustykalnej. Okazuje się bowiem, że napildiliśmy w kraju tyłu weterynarzy, że nawet w gminach nie było dla nich pracy. Podobno sytuacja unormowała się jakoś ostatnio w kraju, ale na Lubelszczyźnie, bo ponoć szczególnie atrakcyjna, młody weterynarz dostanie ciężkiej zadyszki, nim zdobędzie etat na wsi.

I oto mój cały świąteczny podarunek pod choinkę, pozbawiony niestety czerwonej czy choćby biało-czerwonej wstążeczki, a nawet wskazówki, że w tym właśnie miejscu „pudelecza” znajdują się wnioski. Na świętego Mikołaja! — zróbcie coś, wyciągnijcie je sami, polewując ad hoc familijną grupę partnerską. Do prawdziwego bezrobocia przecież jeszcze daleko.

kraj trzeba brać na początku takim, jaki jest. Nie mam przy tym zamiaru bronić nieudacznictwa w kierowaniu gospodarką, paradoksów systemowych, ograniczonej świadomości. Jeśli jednak wizja jakiegokolwiek narodu zostanie z góry zdeterminowana założeniem niemożliwości, trudno będzie doszukać się potem czegokolwiek poza wirówką nonsensu.

To fakt, że nie zapomniano w Anglii, iż młodzież należy nie tylko nauczać, obarczając ją stosowną dawką informacji, ale i wychowywać. W elitarniej szkole w Eton uczniowie chodzą na zajęcia we frakach, ale na wuefie muszą się ćwiczyć w rzucaniu ciężką drewnianą piłką na boisku wybrukowanym kamieniami. (Taka jest tradycja szkoły od Sredniowiecza). Uczy to odporności na ból, hamowania emocji, zasad fair-play w najbardziej dokuczliwym kontekście. To prawda, że kiedy, podczas historycznego meczu na Wembley, McFarland złapał Latę za koszulkę, nazajutrz rozpadła się w prasie burza na temat utraconej brytyjskiej godności i silne było wołanie, iż Anglia nie umie już przegrywać z honorem. Kiedy wyczyn McFarlanda powtórzył w Monachium Kasperczak obalając przez połowę boiska Brazylijczyka Marinho, w naszych publikatorach nie podniósł się żaden głos kwestionujący narodowe poczucie przyzwoitości. Szkoda, tylko, że te piękne gesty stanowią zaledwie pewien zbiór ucywilizowania. Nie kryje się za nimi autentyczne otwarcie na człowieka. Gubi się to wszystko w uprzejmych uśmiechach; jest to swoiste vedemecum *savoir-vivre'u*. Ale to ich problem. My mamy swoje.

Uwikłani z „moim” Anglikiem w dysputę rozpolaryzowaną odśrodkowo, postanowiliśmy uciec się do praktyki eksperymentu. Na kartkach papieru wypisaliśmy w separacji pięć najważniejszych, naszym zdaniem, pryncypiów życiowych. Moje okazały się z grubej rury, najbardziej zasadnicze z zasadniczych, mojego rozmówcy — ukierunkowane na prawo; prawo do indywidualizmu, prawo do właściwego naliczania podatków, prawo do niezależnego głosu w parlamencie. To pięć-

ne. Kiedy my grzebiemy się jeszcze w trzewiach najbardziej podstawowych norm egzystencji, oni są już na etapie regulacyjnego wyrafinowania życia. Wynik owej mini-konfrontacji stanowi najpełniejszy obraz różnic, jakie nas dzielą. A jednak gdybyśmy kiedyś zaczęli dążyć do wizji człowieka równowagi, to mam bliżej będzie do odrobienia zaległości niż im.

Nigdy nie miałem intencji bronić postawy „krew i blizna”. Wątpię wszakże, czy Anglicy zdołaliby podbić dwie trzecie świata, przeorywać się moźolnie przez pustynie i kręgi polarne, zasiedlać nowe kontynenty, gdyby historia wyposażyła ich w rozterki à la Wańkiewicz czy Zofia Kossak. To „sentymentalne” parcie z zasobnej farmy w Kornwalii czy z luksusowej posiadłości w New Jersey, do zaściankowych Górów czy spauperyzowanego Zolihorza wcale nie musi być przekleństwem tego kraju. Ow kompleks „wózka na kółkach”, którego co i rusz podepchnie któryś z sąsiadów, może równie dobrze stanowić o naszej prawdziwości.

Trudno jest dzisiaj przekazać u nas młodemu człowiekowi prawdę o pustce bytowania w wykofekowanych fortecach. Owa tak szeroko głoszona stamtąd teza o dążeniu do człowieka harmonii jakoś na później odkłada rozwój tej drugiej strony bogaczącej człowieka. Duchem wciąż zajmuje się elita, a członkowie tydzień pracy z trudem potrafi zastąpić zagłębienie się w lekturze. Nie, my wcale nie jesteśmy niepokalanie czysti, pragnący żywić się wyłącznie abstrakcyjnym chlebem. Coraz częściej spotykam na dworcach i gdzie indziej ludzi, dla których pasją życia stało się upokarzające kupczenie obskurnymi kożuchami, nie pierwszej czystości bielizną i podłej jakości kawą. Coraz pełniej dopracowuje się etykiety normalności rozpychanie się łokciem, podeptanie drugiego chamska arogancja. Ale to znowu zbiór norm cywilizacyjnych. Nie wygasły jednak jeszcze „nocne Polaków rozmowy”, nie wygasła żywość reakcji na pytania podstawowe, nie zatraciło się dociekanie „po co?” i „dlaczego?”

Wspomnianej harmonii brak więc, jak dotąd, i nam i im. I tylko o przekonaniu mojego rozmówcy, że tak jest, głównie mi chodziło. Nie godzę się bowiem z twierdzeniem, że progres tylko tam, nie podzielam opinii, że na pohybel wszystkiemu, co tu. Marzy mi się uniwersalny Conrad przyprowadzający zapobiegliwość wokół rozumu, zainteresowaniem dla nieuchwytnego. Jeśli rozgorączkowana cywilizacja naszego czasu istotnie zmierza ku jednoci, takie właśnie powinna ustalać sobie cele.

Oszalałające sukcesy poezji Brodskiego i Miłosza (pozostawiając na boku całą polityczną otoczkę) i prozy Kosińskiego służą wcale niebagatelnej sprawie. Nad ranem okazało się bowiem, że punktów ewentualnej zbieżności między nami nie było wcale tak mało. By jednak dogrzebać się do nich, trzeba po prostu rozmawiać. Trzeba bywać tu i tam, czytać to i tamto, odwiedzać się i poznawać. Wspólny europejski dom dotąd będzie jedynie pobożną ideą, dopokąd nie nastąpi rzetelna próba zbilansowania postaw i poszukiwania zbieżności. Łatwo jest odciąć połowę kontynentu twierdzeniem „każdy naród zasługuje na swój los”. Gdyby tak miało być, zapewne ciż sami Brytyjczycy siedzieliby teraz na nielicznych już relikwach imperialnej przeszłości i zapłakiwali się na śmierć. Dlaczego więc nam zabrania się prawa do otrząśnięcia się z własnych kompleksów? Rzeczywistość autentycznego pogranicza, pełnego własnych klimatów, acz i własnych sprzeczności, od dawna wydawała się niektórym niewarta rozpoznania. „England never bets on an underdog” (Anglia nigdy nie stawia na przegranego konia). Jest w takim twierdzeniu tyleż samo arbitralności i pychy, co w nieszczęsnym „Czyńcie sobie ziemię poddaną”. Przejście się człowieka hasłem drugim przynosi właśnie swoje zbawcze owoce. Mój interlokutor zachwycony był doskonałą recepcją pani Thatcher przez mieszkańców Warszawy. Odwrócił tylko przewrotnie akcenty, twierząc, że owa aproba stała się w chwili obecnej jej wyłącznym kapitałem politycznym. Tymczasem niektórzy, niepomni

na wcale niedawną przeszłość, wolali, by zechciała coś tam ratować, właśnie tutaj, nad Wisłą. Czy padliśmy znów ofiarą brytyjskiego tricku? Rzecz nie jest zapewne tak jednoznaczna, a jednak mania przechytzenia, wykluczająca poparzenie sobie palców kasztanami, ciągle przebiega się na powierzchni. Mój rozmówca na tyle był jeszcze oscylujący wokół, choćby klubu Orła Białego, by takiej perspektywy nie utracić.

Nie chciałbym sprawiać wrażenia, że to ja miałem rację. Nie chodziło tu bowiem w ogóle o wzajemne przekonanie się. Chodziło tylko o dotarcie do pewnych pokładów, gdzie zaczyna się zrozumienie. Ktoś kiedyś powiedział, że z Niemcami nie da się rozmawiać o duszy, a Anglicy nigdy nie wyzbędą się podskórnego poczucia własnej superiority wobec świata. Moja niedzielna dyskusja udowodniła, że wcale tak być nie musi.

Ktoś wspomni teraz o owej postłowińskiej domieszce. Jeśli jednak to ułatwienie, to nader marginalne. Inspirowana wartość wymiany poglądów polegała w gruncie rzeczy na tym, iż jedność może wynikać tylko z różnorodności. Związki monocharakterologiczne bywają z reguły nudne, pozbawione dynamizmu i skazane na wcześniejszą bądź późniejszą zapaść. Nie trzeba więc przewodniczących parlamentów, by dociec prawdy, gdzie tkwi nadzieja na wspólny dom. Nie ukrywam, że jawi mi się ona na końcu dalekiego i ogromnie ciemnego jeszcze tunelu. Po raz kolejny wszakże przekonałem się, iż nie jest wcale tak całkiem nieuchwytna. W świątecznym okresie żywiej odczuwanych związków, może warto poświęcić chwilę na zamyslenie się i nad tą sprawą. Będzie ona bowiem wyznaczać wcale realną jakość świata w roku następnym i w latach najbliższych. A my jesteśmy przecież świata częścią niemożliwą do wymazania.

Z Kazimierza do Syracuse

BYŁO to 20 lutego 1980 roku w Trenton, blisko New Jersey, niedaleko Nowego Jorku. Było to w domu należącym do adwokata, gdzie trzy wynajęte pokoje zajmował grafik, malarz i rzeźbiarz, pan George Ivers, który kiedyś nazywał się Jerzy Iwaszkiewicz.

Byliśmy już po lunchu we włoskiej restauracji pod miastem, wybranej celowo przez mojego gospodarza ze względu na niskie ceny i niemnogą klientelę. Faktycznie, rachunek za dwa obiady i cztery piwa opiewał na 14 dolarów i kilkanaście centów.

Spodobało mi się nawet to amerykańskie, pragmatyczne podejście do biesiady, reprezentowane przez Polaka, który urodził się w 1922 roku w wiosce Bogdanowo koło Poznania, w rodzinie nauczycieli szkoły powszechnej, a dwa miesiące przed wybuchem wojny światowej podjął naukę w Państwowej Szkole Morskiej w Gdyni, skąd zdążył jeszcze wypłynąć, na motorowcu „Chrobry”, w tzw. rejs kandydacki, zakończony z wyroków historii w Brazylii.

Teraz, po lunchu, zapiliśmy się w mieszkaniu Iwersa kawą i sokiem owocowym, tocząc leniwą, utykającą co chwila rozmowę. Męczyliśmy się obaj, co dziwne, bo z postrzępionych informacji grafika wyłaniał się jego ciekawy, dramatyczny i męski autoportret. Okazało się, że młody Iwaszkiewicz przedostał się jakoś z Brazylii do Anglii, zaraz potem znalazł się we Francji, gdzie walczył z Niemcami w szeregach Wojska Polskiego. Następnie zrealizował jedną z wersji narodowego scenariusza czasu wojny, oznaczonego takimi punktami: niewola, ucieczka do Szwajcarii, znów Francja i kontakt z ruchem oporu, przerzut do Hiszpanii, półtoraroczny pobyt w obozie koncentracyjnym Miranda de Ebro, strajk głodowy, wolność, pomoc ambasady angielskiej, Gibraltar, jeszcze raz Anglia, krótka służba w oddziałach polskich w Szkocji i wreszcie ciężka praca marynarza pokładowego na statkach handlowych „Krosno” i „Białystok”.

Taki życiorys można by rozwinąć w wielki reportaż historyczny, a tymczasem w Trenton nie szła nam jakoś rozmowa, choć lunch okazał się nie tylko tani, ale i pożywny.

Po wojnie Iwaszkiewicz osiadł w USA, podjął studia w filadelfijskiej Akademii Sztuk Pięknych, zarabiając na utrzymanie jako projektant porcelany. Podobno już we wczesnej młodości ujawnił wybitne zdolności plastyczne.

Później zmienił nazwisko wedle nazwy popularnych w Ameryce pędzli, założył rodzinę, doczekał się trojga dzieci, rozwiódł.

Wybierając się do Trenton, wiedziałem jednak tylko tyle, że niejaki pan Ivers, obywatel amerykański polskiego pochodzenia, jest dyrektorem artystycznym znanego przedsiębiorstwa „Cybis Porcelains”, wywodzącej się z fabryki porcelany i odpowiedniego studia eksperymentalnego, jakie w tym 80-tygodniowym dziś mieście uruchomił po II wojnie Bolesław Cybis, były członek „Bractwa św. Łukasza”, tak niegdyś mocno związanego z Kazimierzem nad Wisłą.

Zainteresowany „Bractwem”, a szczególnie losiem siedmiu obrazów historycznych, wykonanych przez grupę na Wystawę Światową w Nowym Jorku '39, wiele obiecywałem sobie po spotkaniu z Iwersem. Ant-director „CP” przedstawił się wszakże, jak napomknąłem, niczym uosobienie sfinksa, zwięźle i ogólnikowo charakteryzując np. aktualną produkcję „Cybis Porcelains”, przy której trudziło się wtedy około 120 osób.

Nie pojmowałem nie znajdowałem przyczyn tej jego powściągliwości!

Dopiero po powrocie do kraju dowiedziałem się, że pan Ivers tak silnie wzruszył się moją prośbą o spotkanie, iż zatelefonował z Trenton do Torunia, do naszego wspólnego (!) kolegi, by upewnić się, czy ja przypadkiem nie jestem reżimowym szpiegiem! Gorączkowe zapewnienia A. S., z którym zresztą wypilem niegdyś trochę piwa z bufetów przy stołecznym Nowym Świecie i na Rozbrat, że nie może jakoś skolarzyć sobie IJK z wymagającą przecież inteligencją rolę szniona vel kontrwywiadowcy, nie rozwiały chyba do końca podejrzeń dyrektora. Cóż, ambicje Iwersa smętnały mi m.in. w takich twardej techniki graficznych, jak miedzioryt i sucha igła, które posłuszne są tylko temu, kto posiada dar niebywałej precyzji. A słowo, wiadomo, bywa wieloznaczne, szczególnie w akustyce i telefonicznej.

O poszukiwanych przeze mnie obrazach historycznych „Bractwa”, które nigdy nie wróciły do Polski, pan Ivers wiedział tyle, co nie Wspomniał wszakże, że malowidła samego Cybisa znajdują się „w uniwersytecie miasta Syracuse”. Niestety, nie miałem już czasu, by tam dotrzeć: kilka dni później odlatywałem do kraju, szczęśliwym zbiegiem okoliczności omijając maszynę, która rozbiła się pod Warszawą, grzebiąc m.in. Annę Jantar.

Upłynęło sporo czasu, nim dowiedziałem się, że w Syracuse znajduje się cały cykl historyczny „Bractwa św. Łukasza”. W Polsce ustaliłem zatem fakt, o którym nie miała pojęcia nowojorska

inteligencja polonijna, przepytwana na okoliczność sprawy. Owszem, otrzymałem tam odbitkę publikacji Ireny Piotrowskiej „The historical paintings of the Brotherhood of St. Luke”, zamieszczonej w „Philosophical Library” z 1947 roku jako rozdział opracowania „The Art of Poland”, ale nic nadto nie udało mi się uzyskać.

Zadzwońnię do ambasady USA w Warszawie, gdzie od ręki ustalono interesujący mnie adres: Le Moyne College, Syracuse, N. Y.

Wysłałem list. Po miesiącu otrzymałem odpowiedź w ciepłej tonacji, podpisaną przez prezydenta katolickiego, jak się okazało, college'u: Franka R. Haiga, notabene brata generała Alexandra Haiga, który okresowo był sekretarzem stanu w rządzie Reagana, wcześniej zaś — dowódcą wojsk NATO w Europie.

F. R. Haig informował uprzejmie, że wszystkie obrazy „Bractwa” poddano restauracji i oprawiono w nowe ramy wzorowane na oryginalnych, a miejscem stałej ekspozycji malarskiego cyklu jest biblioteka uczelni. Ponadto prezydent (rektor) obiecywał pomoc w realizacji moich zainteresowań wiadomą sprawą, by na koniec oznajmić, że był już kiedyś w Lublinie, a podczas ewentualnej następnej wizyty nad Bystrzycą chętnie spotka się ze mną („I will attempt to meet with you”).

List F. R. Haiga udostępniłam PT Publiczności w każdej pierwszej niedzielę miesiąca, w godzinach: 12-13.02, jako przykład obyczajów, o których zdążyliśmy zapomnieć w codziennej szarpaninie kielbasniczo-trolejbusowej. Przyjmuję jednak tylko osoby trzeźwe i wycierające obuwie przed wejściem do mieszkania. Grupy wycieczkowe proszę o wcześniejsze ustalenie terminu wizyty...

Wszystko wskazuje na to, że cykl „Bractwa” trafił w dobre ręce, choć przecież żal, że nie powrócił do Polski.



Okladka informatora „Le Moyne's Polish Legacy”
Repr. Andrzej Polakowski

Na czym polega wartość tych obrazów?

Przede wszystkim na tym, że stanowią one wyjątkowo rzetelnie udokumentowaną, opartą na źródłach historycznych próbę malarskiego przedstawienia ważnych wydarzeń z dziejów Polski. Ustalenie tematów i wykonanie obrazów poprzedziły długotrwałe i żmudne badania naukowe oraz kwerendy, zainicjowane przez specjalnie powołany komitet akademicki, a przeprowadzone w bibliotekach, archiwach, muzeach i kolekcjach prywatnych Polski, Austrii, Francji, Niemiec, Szwecji i Włoch. Przebadano tysiące medali i monet, wiele dawnych malowideł batalistycznych, rodzajowych i portretowych, stroje i tkaniny dekoracyjne „z epoki”. Przewertowano kroniki i inne stare książki, opisujące m.in. obyczaje z naszej przeszłości. A wszystko to w trosce w autentyzm, o maksymalne zbliżenie się do historycznej prawdy: ludzkiej i materialnej. Miarą owej troski może być fakt, że niektóre dyspozycje kolorystyczne wydano malarzom po analizie chemicznej skrawka półtorakilometrowego niegdyś dywanu, po jakim stąpił cesarz Otton III w ostatnim etapie swojej pielgrzymki (rok 1000) do sanktuarium św. Wojciecha w Gnieźnie. Twardej zasadzie autentyzmu poddano też wizerunki architektury i dzięki temu w pojedynczych kompozycjach odnajdujemy profile budowli XV-wiecznego Krakowa i XVI-wiecznego Lublina.

Jak już wiadomo, wykonanie malowideł powierzono grupie „Bractwo św. Łukasza”, powstałej w 1925 roku i złożonej z uczniów Tadeusza Pruszkowskiego w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych (później ASP). Wybór był trafny, właściwie bezdyskusyjny, albowiem „Bractwo”, czupurnie dystansujące się od „kosmopolitycznej” awangardy, upodobało sobie w tradycji sztuki, do własnych celów artystycznych zmięszając drogą obserwacji starych Holendrów, Caravaggia, czasami — XVI-

wiecznych mistrzów niemieckich i francuskich. Ostatecznie „Pruszkowi” i jego wychowancom chodziło przecież o praktyczne określenie paradygmatu sztuki o czysto polskim charakterze, uodpornionej na wpływy zachodnie, a zatem oryginalnej i dzięki temu dostrzeganej w świecie. Dojdąmy, że podobne intencje demonstrował w międzywojniu, bardzo agresywnie, Stanisław Szukalski, który jednak w swej twórczości rzeźbiarskiej nawiązywał do precedensów jakby egzotycznych, nie mających nic wspólnego z kulturą umiłowanych przezeń dawnych Słowian.

Mówiąc po prostu: Pruszkowski Bolesław Cybis, Bernard Frydrysiak, Jan Gotard, Aleksander Jędrzejewski, Eliasz Kanarek, Jeremi Kubicki, Antoni Michalak, Stefan Piłzański, Janusz Podoski i Jan Zamojski — ta cała grupa potrafiła realistycznie namalować człowieka, kozę, psa, kota, postaci świętych pańskich, sceny rodzajowe i symboliczne. A jak wymagały tego okoliczności, to i ładnie stylizowała owe motywy na coś, co akurat było potrzebne.

Rozłożywszy się obozem w kazimierskiej willi Pruszkowskiego „Łukaszowcy” przystąpili więc do roboty w roku 1938, by zrealizować następujące „tematy”, ustalone przez wysoką komisję: „Bolesław Chrobry witający Ottona III podczas jego pielgrzymki do sanktuarium św. Wojciecha w Gnieźnie”, „Chrzest Litwy”, „Przywilej jedineński”, „Unia Lubelska”, „Konfederacja Warszawska”, „Odsiecz Wiednia”, „Konstytucja 3 Maja”.

Pierwszym podejściem do sprawy sterował duch komuny: poszczególne tematy rozdzielono między członków ugrupowania, którzy w trakcie samodzielnego szkicowania projektów obrazów mieli zadbać głównie o zachowanie względnie jednorodnego charakteru kompozycji. Okazało się jednak, że komuna spełnia się raczej jako idealny postulat, albowiem w praktyce każdy ciągnie do siebie, nurzając zasady w wesołym chaosie. Ostatecznie „Bractwo” powierzyło to fundamentalne zadanie Antoniemu Michalakowi i Jeremiu Kubickiemu, którzy w ciągu czterech godzin machnęli po siedem projektów koncepcyjnych. Następnie, drogą demokratycznych wyborów, do realizacji przyjęto cztery opracowania Michalaka i trzy Kubickiego.

A potem to było tak: obaj wyróżnieni artyści zamieścili szkice na duże rysunki węglem, utrwalonym fixatywą, a ich koledy wysyłowali, na kalkach przyłożonych do owych kompozycji, różne detale kostiumologiczne, architektoniczne czy pejzażowe. Taką strukturę plastyczną można już było przenieść na podobrazie, czyli na grube deski, zlepione z 10 płyt twardego drewna, pokryte płótnem zamocowanym w kleju, które siedmiokrotnie gruntowano kredą pławioną. Po wyschnięciu owej materii przeciętnie prostokątne powierzone (129,54 cm X 203,2 cm), dla uzyskania zamierzonej tonacji kolorystycznej, ziemią szarzieloną, z kolei przekalkowano rysunki i wyciągnięto je dokładnie w technice ziemi białej i zielonej.

W pierwszym czytaniu opis ten przypomina recepturę średniowiecznego alchemika, no i bardzo dobrze, albowiem „Bractwo” chętnie i programowo korzystało z rejestrów technologicznych dawnego malarstwa, uważając współczesnych sobie kolorystów i konstruktywistów za leniwych tandeciarzy.

Przeniesienie rysunku na zagruntowane deski otwierało następny, niestety zmuszony etap pracy przy pomocy pędzla. Według relacji Michalaka, malowano obrazy od godziny 7 rano do zmierzchu — wspólnie, kolektywnie, acz z różnym zaangażowaniem, zależnym od indywidualnych umiejętności konfratrów. I tak Aleksander Jędrzejewski, uważany przez kolegów za najlepszego kolorystę, „stwarzał nastrój”, malując niebo i fragmenty pejzażu, oczywiście w tych obrazach, gdzie coś takiego występowało, Jan Gotard, świetny ekspresjonista, budował pędzlem malutkie postaci ludzkie na drugich planach kompozycji. Jan Zamojski okazał się specjalistą od figur groteskowych, gdy patetyczne czy heroiczne stanowiły domowę Michalaka, który zresztą własnoręcznie wykonał cały „Przywilej jedineński”, występujący w jego wspomnieniach pod inną nazwą: „Nikt nie będzie karany bez wyroku”, nawiązującą do łacińskiego „neminem captivabimus”. Czasami korzystano z pomocy osób nie należących do „Bractwa”, okazjnie angażując np. architekta Jana Bogusławskiego. Późniejszy projektant odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie wykreślał w obrazach „Łukaszowców” architekturę oraz posiadki we wnętrzach, oczywiście nie za darmo.

Malowano farbami temperowymi, stosując laserunki z precyzją średniowiecznych mistrzów, od których przyjęto też „styl iluminacyjny”.

Malowano od maja do października 1938 roku, wystarczająco długo, by wiadomość o wielkim przedsięwzięciu „Bractwa” szeroko rozniosła się po kraju, ściągając do Kazimierza wielu zaciekawionych artystów, w tym Feliksa Szczęsnego Kowarskiego.

Malowano w trudzie i poczuciu odpowiedzialności za dzieło, by za każdy z obrazów otrzymać raczej skromne honorarium: po 2500 zł.

Na Wystawę Światową do Nowego Jorku obraży popłynęły pod eskortą Bolesława Cybisa i Eliasza Kanarka. Umieszczone w sali honorowej pawilonu polskiego, doczekały się wybuchu II wojny światowej, która dziełom i obu malarzom odciała drogę powrotną do kraju. O amerykańskich losach polskiego cyklu historycznego decydować miał odtąd jeden człowiek: Stephen Kyburg de Ropp, obywatel brytyjski narodowości szwajcarskiej, osiadły w czasie wojny w USA i tam zapewne naturalizowany.

Przed rokiem 1939 Ropp działał m.in. w Polsce, będąc dyrektorem Międzynarodowych Targów Poznańskich, a z tego tytułu — również członkiem Rady Dyrektorów Europejskiej Organizacji Targów Międzynarodowych, i jego włas-

nie rząd RP ustanowił komisarzem działu polskiego na wspomnianej wystawie w Nowym Jorku.

Według amerykańskiego informatora „Le Moyne's Polish Legacy”, który otrzymałem od F. R. Haiga, po zajęciu Rzeczypospolitej Niemcy zlikwidowały konto bankowe, z którego finansowano naszą ekspozycję. Ropp zachęcał do tego jedynie dobrym słowem przez rząd emigracyjny w Londynie, zdobył jednak środki na utrzymanie wystawy — dzięki skupieniu wokół sprawy grupy życzliwych nam Amerykanów.

Londyn nie znalazł też pieniędzy na wypłacenie pensji, należnej komisarzowi, który pozostawał przecież w służbie państwowej. W końcu, kilka lat po wojnie, jeden z emigracyjnych premierów zaproponował Roppowi przejęcie obrazów i tkanin jako zabezpieczenia zaległych poborów.

Michalak twierdził, że z podobną obojętnością potraktowała sprawę wiadomych dzieł sztuki Warszawa, już po roku 1945, kiedy to Ropp oferował przesłanie ich do kraju za kwotę 3000 dolarów tzw. składowego. „Nas po wojnie uznano za malarzy sanacyjnych czyli religijnych i dlatego machnięto ręką na nowojorskie obrazy” — z goryczą komentował artysta podczas naszej wielogodzinnej rozmowy w jego kazimierskim domu, nagrywanej na taśmę magnetofonu 10 sierpnia 1974 roku kilka miesięcy przed śmiercią (26 V 1975) autora obrazu „Stygmatyzacja św. Franciszka”, który zresztą zaginął po zamknięciu innej wystawy w Londynie.

Ostatecznie Ropp zdecydował się na podarowanie malowideł i czterech gobelinów Mieczysława Szymańskiego, członka grupy „Łoża Malarska”, wspomnianej uczelni w Syracuse.

Informator „Le Moyne's Polish Legacy” zaznacza, że Ropp zadawolił się satysfakcją moralną — odrzucając kuszące oferty zamożnych Polaków z Brazylii, którzy chcieli kupić te dzieła „Bractwa św. Łukasza”.

W wydawnictwie znajduje się przecież wzmianka, że Ropp był wykładowcą Le Moyne, nie ulega chyba kwestii, że po akcie darowizny. Ale to w końcu mało ważna „drobnica egzystencji” wobec obiektywnie dobrego sensu decyzji tego człowieka.

Polonia i krajowa biurokracja zlekceważyły, wręcz odwróciły się od obrazowej dokumentacji dzieł ojczystych, więc wypada powiedzieć jednoznacznie, że Amerykanie mają formalne i moralne prawo do posiadania dzieł „Bractwa”.

Intrygujące przy tym, że w amerykańskiej historii malowideł nie pojawia się postać Bolesława Cybisa, który przecież zbilansował majątek na produkcji swojej fabryki porcelanowych główek i innych bibelotów, chętnie kupowanych za oceanem, na podobniejących populistycznie wyobrażenia o pięknie. Inna sprawa, że takie „główki” znajdują się też w Białym Domu, a jedna z nich trafiła do Polski drogą oficjalną, jako dar Richarda Nixona, goszczącego niegdyś w PRL.

Cóż, może Cybisa, współtwórca cyklu, pochłaniały bez reszty interesy i pewne upodobanie, które doprowadziło go do tragicznej śmierci, w Trenton 1957 roku?

Le Moyne College okazał się kompetentnym opiekunem obrazów „Bractwa”. Pod adresem takiej instytucji można więc chyba bez obawy skierować pewną sugestię, która oczywiście powinna też znaleźć zrozumienie i konkretne wsparcie nad Wisłą.

Otóż, czy nie byłoby pożyteczne dla obu stron, amerykańskiej i polskiej, gdyby kolekcję z Syracuse wystawiono, na pewien czas, w naszym kraju, najpierw w Kazimierzu Dolnym, następnie w Lublinie, Warszawie i Toruniu, którego Muzeum Okręgowe od 1971 roku (pokaz malarstwa B. Cybisa) żywo interesuje się twórczością artystów z kręgu Pruszkowskiego?

O ile wiem, o czymś takim myślało już kilka lat temu, kiedy stosunki polsko-amerykańskie były jakby kanciaste. Ale dzisiaj, dzisiaj są one lepsze — zresztą zapomnijmy o polityce, gdy chodzi o kulturę, która podobno łączy narody.

Po latach anatemy, wymuszonej przez powojenną awangardę, „Bractwo św. Łukasza” i spokrewnione z nim ugrupowania artystyczne znów budzą szerokie zainteresowanie publiczności i historyków sztuki, czego największym dowodem liczne audytoria sesji „Tadeusz Pruszkowski, życie i dzieło” oraz tłumna widownia wartościowej i atrakcyjnej wystawy w Kamienicy Celejowskiej „Tadeusz Pruszkowski i jego uczniowie. Portret i autoportret”, otwartej 23 października wysiłkiem dynamicznego Muzeum Nadwiślańskiego Kazimierza Dolnego.

Trudno jednak wyobrazić sobie ten najazd publiczności na Kazimierz, gdyby obrazy z Syracuse pokazano w willi, gdzie namalowano je ponad pół wieku temu! Byłoby wzruszenie, może nawet bzy rzewne na twarzach starszej generacji, zaduma, ale może i zgryźliwie różne pytania, na przykład: dlaczego na gruncie z kredy plawionej przedstawiono akurat takie a nie inne „tematy” historyczne?

I bardzo dobrze, albowiem kto pyta, ten się jeszcze czymś przejmuje. Matejkę też zresztą nagabywano, czym kierował się w wyborze faktów do cyklu „Dzieje cywilizacji w Polsce”, obejmującego wszak więcej, bo 12 wydarzeń z przeszłości. Pytano, choć do owych szkiców olejnych mistrz dołączył własne objaśnienia — tak subiektywne w istocie, jak wymalowana przezeń wizja historii, której ufamy, chcemy ufać po dziś dzień, czasami wbrew uroczym rewizjom Matejkowego mitu.

Mit jest prawdą bezwzględna ludzkiej wspólnoty, jak bezwzględna prawda stanowi mityczną dyrektywę nauki.

Ireneusz J. Kamiński

Ekran i widz

„Felix” dla Kieślowskiego

PRYZYNANA po raz pierwszy w historii kina Europejską Nagrodę Filmową — „Felix” otrzymał Krzysztof Kieślowski za „Krótki film o zabijaniu”.

Siedmiosobowe międzynarodowe jury, obradujące w Berlinie Zachodnim pod przewodnictwem doskonalej aktorki francuskiej Isabelle Huppert, przyznało — oczywiście — cały szereg „Felixów”: za reżyserię, scenografię, muzykę, scenariusz, najlepsze role pierwszo- i drugoplanowe. Ale „Felix” za najlepszy europejski film roku jest wśród nich nagrodą najbardziej znaczącą, najbardziej prestiżową, świętym Grand Prix.

hope. Poland is in Europe” („Mam nadzieję, że Polska leży w Europie”).

Spójrzmy na języcze jeden aspekt „Felix” dla Kieślowskiego. Stał on niejako na jednym podium z artystami tej miary co Marcello Mastroianni, Richard Attenborough oraz Bernardo Bertolucci, którzy otrzymali Europejską Nagrodę Filmową poza konkursem. Pierwszy — za całokształt aktorskich osiągnięć filmowych, drugi — za obiektywizm historyczny i wartości humanistyczne w nakreślonych przez siebie w ciągu całej reżyserskiej kariery filmach, trzeci — za „Ostatniego cesarza”.



„Krótki film o zabijaniu” — jedna ze scen

„Felix” przyznany Krzysztofowi Kieślowskiemu ma poza tym, no podkreślił w wywiadzie telewizyjnym jeden z jurorów, Krzysztof Zanussi, jeszcze dodatkowe, niezwykle ważne znaczenie: wszak już na samym wstępie swego listu do Europejskiej Nagrody Filmowej określiła charakter preferowanego przez siebie kina. A ma to być — sądząc po „Krótkim filmie o zabijaniu” — kino dojrzałe intelektualnie i moralnie, humanistyczne, przyglądające się z baczną uwagą otaczającemu nas światu i śmiało podnoszące ważne problemy współczesności. Do takich zaś należy podnieśiona przez Kieślowskiego w jego filmie sprawa kary śmierci.

Był kiedyś Kieślowski jednym z głównych przedstawicieli młodego polskiego „kina moralnego niepokoju”. Od kilku lat wychodzi poza polską specyfikę, zwracając się ku problemom uniwersalnym. Tak jest w obydwu dotąd powstałych częściach realizowanego przez niego „Dekalogu” — „Krótkim filmie o zabijaniu” i najnowszym — „Krótkim filmie o miłości”, choć obydwie osadzone są zdecydowanie w naszych polskich realiach. No, ale — jak powiedział reżyser, odbierając z rąk Isabelle Huppert swoje „Felix” — „I

Trzeba przypomnieć, że najwyższa europejska nagroda filmowa przyznana Kieślowskiemu potwierdziła tylko zdanie polskiej i światowej krytyki filmowej na temat twórczości tego reżysera. Wszak w ubiegłym roku „Krótki film o zabijaniu” otrzymał na najbardziej hojnym w Cannes Nagrodę Specjalną Jury oraz Nagrodę FIPRESCI; na tegorocznym festiwalu polskich filmów fabularnych w Gdańsku — Gdyni przyznano Kieślowskiemu Grand Prix „Złote Lwy Gdańskie” ex-aequo za „Krótki film o miłości”; w kilka dni później ten drugi film został uhonorowany najwyższą nagrodą na festiwalu filmowym w San Sebastián.

Ma Kieślowski swoich wyznawców, swoich sympatyków, ale także — wielu żądających przeciwników szczególnie wśród części polskiej krytyki filmowej. Jedni zaznaczają mu od lat „przechyl publicystyczny” w kolejno tworzonych filmach, inni krytykują go za zbyt ostre i jednoznaczne stawianie problemów politycznych, jeszcze inni uważają, że wprost przeciwnie: jest zbyt umiarkowany, niejednoznaczny do końca. Ale taki nie mógł wyskoczyć Kieślowski-

mu bratu koczowniczej w tym, co nabi od samego początku swej drogi filmowej, ani braku zaangażowania w otaczającą go rzeczywistość. Ani — bratu odwróci.

Kieślowski od samego początku, gdy stanął przy kamerze, bardzo uważnie przygląda się światu. Robi to w skupieniu, z namysłem, niekiedy z zaskakującą drobiazgowością, czasem w sposób pozornie chłodny i bezlitosny. Nie rzuca z ekranu wielkich słów, nie odwołuje się do samego tylko intelektu. Przemawia głosem przywołanym i jakoby na wpół obojętnym. I dopiero po pewnej chwili zdaje się sobie sprawę, jak wiele jest w nim nieudrżywanego, podkórzonego żaru... Może tak właśnie reagują na to, co ich otacza, chłopcy, którzy kształtowali swoją ambicję nie w domu rodzinnym, ale w Domu Dziecka. W tej mającej zastąpić rodzinę instytucji, którą bohaterowie filmów Kieślowskiego tak często mają „wpisaną” w swój dziecięcy i młodzieńczy życiorys.

Zaczynał Kieślowski ci doku- mentowania otaczającego go swia-

ta. Bardzo szybko jednak, już w „Robotnikach 71”, przestał to być suchy ogląd tego, co dostrzegła martwa oko kamery. „Nie o nas bez nas”, „Planowa miłość”, „Szpital”, „Z punktu widzenia nocnego portiera”, „Gadające głowy” — to filmy, które przyniosły Kieślowskiemu sławę, jako wybitnemu dokumentarście. Kiedy zaszaflikowano go już do kategorii wybitnych twórców tego właśnie gatunku, Kieślowski nagle zaczął weryfikować prawo od początku: w 1975 r. naładował na wpół fabularny „Perceps”, zaczął się uczyć „fabuły” (nie rezygnując zresztą z dokumentu), „Spóźni”, „Błękitna”, „Amator”, „Przypadek”, który się odleżał na półkach), „Bez końca”. Wreszcie — dwa krótkie filmy: o zabijaniu i o miłości. Filmy, w których uważny, wnikliwy, obiektywny obserwator rzeczywistości dochodzi do jak światu starożytności, że do najwyższych wartości należą życie ludzkie i miłość ludzka.

Mirosław Derecki

Zygmunt Wójcik

★ ★ ★

Zapisuje wierszami ląkę, pole i powietrze
Stoi wszystko obok
Tylko kamienie polne milczą
i najlepiej wtedy rosną
w jej oczach
Jak po nie sięgnąć?
Podnosi jeden za drugim
choć nie ma siły
Z upływem czasu
w jej chłopskiej szafie
zamyka się jeszcze jeden zamek
z minionego życia
To co zostało
z rozchylanego stołu.

Twarcz

Twarcz — liść z obliczem modlitewnym
Papierzyska gminy Pacanów
Katorga od łaskawego urzędnika
Rzeka z korytem Starej Wisły
Smierć i zmartwychwstanie
małej wioski przy moście
Na śniegu krew rosyjskich żołnierzy
co zdobyli przyczółek
Na froncie domu wróble, wróble
jakby w dużym kamieniu dziury gniazd.

Zofia Luchowska - Kuna

★ ★ ★

Panie mój,
jeszcze tak
nie zgłupiałam,
żeby w Ciebie
nie wierzyć.

Panie,
nie karz tak
od ręki.

Jeszcze ciągle błądzą,
ale powracam,

Jan Mamcarz

Metaforyki

Czym są gwiazdy?
Gwiazdy to kamienie
a czym jest słońce?
Słońce jest widzeniem.

A czym są rzeki?
Deszczem, rzeką, morzem
a zatem pług
będzie ziemi nożem.

Ptaki będą kukłami
słowa pociskami i kwiatami
a róże właśnie róże
będą dziewczętami.

A czym będzie wiersz
ten bez metafory?
Będzie tylko snem
ale bardzo chorym.

Słowa I

W ustroniu
słów
odnajduje
spokój
w ciszy słów
odnajduje
zwiastun
burzy.

Są słowa
upośledzone
i kalekie
i takie właśnie
słowa
rodzą mnie
człowiekiem
sam
nie wiem
po raz który.

kamena

8

Greenpoint

Matce

Wysypisko śmietnisko
pasuje jak ulał
z beczki obfitości
piany z wierzchu
W nutriach idą Polki
chciały być od razu eleganckie
podcierają dupę
tutejszej prostytutce
za sprzątanie
30 dol. plus godność
i milczenie
Ulica czeka
a na niej wiele kopniętych
Miały zbyt długie języki
choć czerwone
i krótkie nogi
Albo dobierał się gospodarz
Zosia Mirka Krysia Halina
mają wzięcie
30 dol. za sprzątanie
plus godność
ryczałem.

Nowy Jork styczeń 88

★ ★ ★

Czuję jak twoje niebo
schodzi na moje usta
nalewasz w moje ciało
kroplami
pył krwi

żeby dojść
i przedstawić Ci nieboskłon
moich wierszy...

★ ★ ★

taka gorzka
zabija
zdradziecko
jak przypadkowo polkniecie
włókno azbestu
jak za późno odkryte
kłamstwo
jak obiecowanie sobie
nastania świtu
który należałoby
przywitać razem

Słowa II

Są słowa
wrażliwe
kłujące
swym ciepłem
są też takie
słowa
w zetknięciu
z powietrzem
placzą
i śpiewają.

Ze słów
odpadają płatki
wylania się
owoc dojrzały
takie właśnie
słowa
smakuje
przez rok cały
w ogrodzie
słów codziennych.

Dzwony świata

Przychodzi do mnie
Magda
Magda ma trzeci roczek
jest moja wnuczka
kochana
i Misia
mi przynosi
powiada
schowaj go dziadziu
żeby go widać
nie zlapał
o tak
za koszulę
więc ściskam
prawie pół świata
a on mnie
na niby łaskocze
a ja się wydzieram
potwornie
a Magda
tak się śmieje
jak wszystkie gwiazdy
w oknie
a teraz

Nie powraca

Łazi się smutek.
Przeciąga zamglony czas.
Z jesiennym odejściem
Judaza
wiatr zaczął liśćmi
zamiatać jakby chciał
zasypać pamięć.
Serce z przerażenia
oszalałe otrząsnąć.
I no nie to wszystko.
O każdej porze odzywają
niepokojne sny. Wkradają się
jak koty. A z wiosną
może być jeszcze gorzej,
choć nikt nie powraca.
Nawet z zawieruszoną myślą.

zrobimy dzwony
rytmu
codziennej zabawy
biore są wtedy
pod maski
i byłoby dzwigał
świat cały
najpierw
dzwoneczek malarzki
lecz tęskny
jak cała tęsknota
dzeń, dzeń, dzeń
dzwoneczku
a serce
w piersi łaskocze
i rytmy się zlewają
w horal szczęśliwości
a nóżki
pod sufitem
jak w dzwonie
Zygmuntowskim
dziadziu
krzyczy radość
a dziadzio
z sił opada
i tuli
do swej piersi
wszystkie dzwony
świata.

Liść

ja
cały ja
cząsteczka
i galimatias
tak mówią
o mnie bliscy
więc nie wiem
kiedy plakać
a jeżeli
już placzę
to placzę
wewnętrznie
i los
chwytałem
za róg
na arenie
człowieczej
za mną

Będzie mi się inieć
lawina
człowieczej dobroci
aż od krzyku
pęknie dzwon
niewybaczania.

★ ★ ★

Chciałem otworzyć twoje łono
jak otwiera się ognisko
skąd wybiorę ogień bólu i rozkoszy
By odtąd nie wyrzec się żadnego słowa
aż piasek zasypie brzegi moich warg
i postawi próg kłamstwa
nie do przekroczenia.

Moje życie

Moje życie z płomienia
z rzeki języki ognia
Brzeg z ciszy
ucieczki przed nieszczęściem
dłonie wyciągnięte
o sprawiedliwość
nie słowa
Wskazówki starego zegara
z czasów carskich
co pokazywał odejście dziadka
Nigdy nie wrócił z Domu Bielokonia
jakaterynosławskiej guberni
W głosie babki rozpacz
wyrzuta spazmem
nigdy nie pobjadła.

★ ★ ★

lubię ten teatr
kocham to życie
gram
tym chętniej
tym milej
gdy patrzysz na mnie
w roli
główniej ja
czyż nie
ale dla ciebie
w obsadzie pierwszoplanowej
zawsze
mówię
mi o tym
twoje oczy
spojrzenia
a ręce
anioły złotobiałe
dwa fruną przeze
mnie

stoją
Konfucjusz
i Balzak
i Dostojewski
a ja
cóż ja
robotnik
i człowiek
współczesny
z ogromnym
bagażem
konfliktów
obaw
i słabości
dźwigam
we własnej
skórce
szkielet
swoich
kości
a realizm
podkładam
pod głowę
i trwam
jak liść
na drzewie
zielonym.

kalina.

Dobroć

Dobroć:
aż skurcze serca
w rekach matczynych
w strofach i w pieśniach

Tęsknota:
aż w gardle ściska
przypieć z serca
i gwiazdy z bliska

Miłość:
krapelki w łocie
w łocie parami
słońce nad głową, ziemia pod stopami

Wiara:
w prawdziwość serca
w spokojny błysk oczu
pokłon wszystkim dobrym bogom.
kalina.

DROZD" wyprężył się na baczność, parodystycznie podejmując dryl wojskowy. Miało to być więcej z operetki, że nie mając żadnego wojska, pomieszał przypuszczalnie i wzięte z wyobraźni elementy tej pozycji. W ten sposób stał się kirasjerem, członkiem gwardii papieskiej i wartownikiem z mauzoleum Napoleona naraz:

— Obywatelu komendancie, zwiadam, że za dwa dni mamy nowy rok!

— A strzelec „Drozd” zostaje zdegradowany do stopnia „Mysikrólika” za brak orientacji. Nowy rok mamy za sześć godzin.

— Niekonwencjonalne traktowanie kalendarza to też sposób zmylenia przeciwnika.

„Astronom” nie wytrzymał:

— „Bartoszu”! Sylwester to po prostu Leśny Człowiek, więc czyje to święto?

Już dziesięć dni tkwili w rejonie tych Małych, Dolnych, Przechodnich i jeszcze jakichś Mokrzówek, co wyraźnie zwiększało stopień zagrożenia, a także zdecydowanie odbiegało od charakteru „Bartosza”, który — jak żartowano — chciał wygrać wojnę turystyką. Teraz na odwrót: „Z partyzantki staliśmy się leśnym garnizonem”.

Ale „Bartoszu” spodziewał się zrzutu. Niestety, tylko spodziewał, bo nikt niczego nie zrzucił. Chyba wiewiórka szyszkę. „Psia kość! Przywiąż cię nadzieją do chmury i stój, człowieku, czekając diabła zmiłowania. W ten sposób można się doczekać Zielonych Świątek, oczywiście jeśli Niemcom przyjdzie na humor utrzymywać rezerwat polskiej partyzantki”.

Stąd już i Boże Narodzenie minęło w sposób przesytny, daleki od psychicznej potrzeby, a nawet warunków rzeczywistej sytuacji. Co tu gadać, ani kropki czegoś mocniejszego, ani mawkowego placaka, nawet gołąbka z kaszy tatarskiej w sosie grzybowym. Żeby nie rozgłaszać o oddziale. Utrzymać konspirację nawet przed swoimi. Było to dość kłopotliwe, bo nie tylko odcinało od miejscowego zapotrzebowania, ale mogło nasunąć podejrzenie o braku zaufania do wsi. Wtedy by sprawa się skomplikowała. Bo wieś mogła brakiem zaufania odpowiedzieć.

„Bartoszu” był dowódcą nietypowym. Przede wszystkim nie zabiegał o tak zwany autorytet. Jeśli — uważał — w oddziale cokolwiek ma być tak zwane, to lepiej go nie zakładać. To nie może być zabawa w wojenkę, oparta na micie kowboja dla zaspokojenia kilkunastoletnich fascynacji. Dlatego tak dużo krytycyzmu miał pod adresem „Droзда”, którego wciąż podejrzewał, że partyzantkę wybrał z braku harcerstwa. Nie był to jednak krytycyzm dyskwalifikujący. Rozumiał to słomianowłose chłopię, zawsze ohotne, sprawne w działaniu, w lot chwytające aktualności oddziału. Żeby jednak choć trochę mniej naiwne! Ale ha, może ta naiwność okaże się w przyszłości budulcem bardziej przydatnym od podbitego zgorzknieniem doświadczenia?

„Astronom”. No, nie aż okularowy intelektualista w szeregach wojskowych, ale nie bardzo pasuje właściwie do lasu. Może gdzieś w robocie przy gazetkach, przy szmuglowaniu parabelem przez obstawiony dworzec, przy skoku na jakiś Deutsches Haus. „Bartoszu” widział przed wojną film „Młody las” i tam pewnego sztabaka w okularach („a cóż te okulary nie mogą się odzepić od wyobraźni!”) — to był taki „Astronom”. Owszem, nie maruder. Ale wygląda na to, że zamiast pepeszą wolałby strzelać do Niemców cytując Kanta, Hegla i Leibniza. Jakby Hitler wyrósł tylko z logicznej pomyłki.

„Pośpieszny”? Tak, chyba jemu „Bartoszu” najchętniej przekazałby dowództwo. Kto wie, czy wkrótce nie trzeba będzie pomyśleć o odpowiednim rozkazie. To się tak ogólnie mówi: „w razie czego”. Ale to „coś” bardzo lubi przechodzić się szpalerem partyzanckich postaci. Tylko stop, nie wspominać! Właśnie „Pośpieszny”, ten potrafił trzymać się w karkach. To ważne. To bardzo ważne. Stając w lunie porażenia bezmiarem tragedii

jest mimo wszystko jakimś ułatwieniem, bo daniem ujścia nagromadzonemu strachowi. Dać się nieszczęściu sparaliżować to raczej ulga. Ale zachować siebie, siebie jako narzędzie działania, a nie jako podmiot doznań — to jest to coś tak cenne u „Pośpiesznego”.

Ale tu już „Bartoszu” nie był taki pewny. Coś mu się zdawało, że tok rozumowania zbyt łatwo poszedł po

zrzut zalicza się do grubszego kalibru partyzanckich działań.

Śnieg nie był ten młody, dopiero co spadły, powodujący ślad długi jak na papierze niebacznie potrącony ołówek. Także nie ten ułożony, krzepnący, zacinający porastać lekką skorupą. Iwie podchodził też wilgocią. Starał się zostać najnormalniejszym śniegiem, śniegiem bez znaków szczególnych. Złagodził, co miał złagodzić, zajął

nu mamusi przekładają przygotowane kalesony, dziewczyny tęsknią, a my przetrzepujemy, gdzie się da, wszelki feldgrau opinający potęgę tyśiącletniej Rzeszy. W związku z czym rozkazuje: głowa do góry, duch jeszcze wyżej, a naczynie ze szlachetnym płynem obiega całość oddziału. Chyba że „Drozd” będzie wolał czekoladę, ale na nią musi poczekać do ostatecznego zwycięstwa.

— O nie, po zwycięstwie zawieszają sobie boeuf à la Strogonow albo kartoflaną z zacierką.

— Koledzy, nie jesteśmy na kongresie gastronomów ani astronomów. I tak nie powiemy niczego o naszym rzemiośle, jak ulan niczego o koniu i tak dalej. Sakramentalnym składnikiem wszelkiej wojaczki jest dziewczyna. Muszę wam powiedzieć, że kiedy ostatnio byłem na patrolu, omal nie doszło do oświadczeń, których jednak nie wygłosiłem, nie chcąc przyczynić trudności z aktualizowaniem ewidencji oddziału.

— Ostrożnie z dystrybucją! Ani kropki na śnieg, jeśli wszyscy mają skorzystać z dobrodziejstwa konspiracyjnej łączności z Mokrzówkami.

— Chwila osobliwa. Pierwszy Nowy Rok w lesie. Przynajmniej dla mnie. W związku z czym nie proponuję śpiewu, muzyki instrumentalnej ani baletu, ale kawalek jakiegoś wiersza...

— Przerwij ogień! Oddział partyzancki chce przejść do historii jako zespół recytatorski?

— Zapomniałeś, czym było polskie słowo w okresie zaborów.

— Nie zapomniał. Nigdy nie wiedział. Przed obłaniem matury uchroniła go wojna.

— A ja klaniam się wybitnemu historykowi. Na przykład: kto to był Mieszko I?

— Kmicie podziemia, ciągle nie to! Posłuchajcie wiatru w sosnowych gałęziach. Nie powiem zaraz, że głos narodowej epepe. Ale jakże wymowny wyznacznik naszego losu. Jeszcze nie tak dawno robiono wam szaliki na drutach. Dziś jest las, automat, skok na posterunek żandarmerii. Zapamiętać mi to. Patrzcie, jak czysto wymotał się księżyc z tych poszarpanych chmur. A wiecie po co to mówię? Zebyscie po latach wspominali: „Staliśmy koło tych Mokrzówek i stary pokazał nam księżyc”. No dobra. Teraz przygotować się do wymarszu.

Szli na Przygaj marszem dość forsownym, w czym bynajmniej nie pomagał przylepny śnieg. Po dwu godzinach jako tako regularna kolumna trochę się rozluźniła. Zrobiło się gorąco. Stopy obsuwały się do tyłu, dlatego krok należało akcentować ruchem sportowym, co wymagało dodatkowego napięcia. Ręce same potrząsały o sosnowe gałązki, na których się nagromadziło trochę śniegu.

— Walimy, jakbyśmy gonili Hitlera.

— Nie martw się, po wojnie też będą olimpiady. Masz zapewniony medal w chodzeniu.

Kiedy nadarzyła się pochyłość, z rozpędu wzięli ją biegiem. Ale już nie wdrapali się pod następną. W parowie nastąpiła zbiórka i zmiana kursu. W lewo, tym właśnie parowem. Nie na długo jednak wystarczyło. Wyszli na przestrzeń, w której tylko z prawej strony mieli ciemniejszą stronę lasu. Ciemność przejaśniła się śniegiem.

„Bartoszu” do „Pośpiesznego”:

— Ile jeszcze?

— Pięć.

— Palców czy kilometrów do Przygaja?

— No to pięć z hakiem.

„Astronom” ktoś potrącił, nie wiadomo, czy przez nieuwagę.

— A po co my do tego Przygaja?

— Intuicja wspomóżona metodą dedukcji każe mi w nim dopatrywać się grzybków w occie. Po wypiciu trzeba zakąsić.

Dokończenie na str. 14—15

Marsz na grzybki

Zygmunt Mikulski

jakichś automatycznych skojarzeniach, a nie po rzeczywistych faktach i stanach psychicznych. Cóż zresztą medytować. Cóż z tego. I tak „do tańca grają nam”.

Tylko jacy kosmaci anieli mają w opiece ten przeklęty zrzut! Już dziesięć dni się marnuje w tym lasu, wcale nie bufońskim, Niemcy mieli nas przewać i niewykluczone, że już jakąś siateczkę przygotowali, bractwo w oddziale ma prawo myśleć, że dowódca spoczął na laurach, a tu stój i...

— Stój!

„Bartoszu” popełnił ten błąd, że za głośno krzyknął. Błąd drugi, że dopiero teraz grzebie się po pistolet. A w ogóle co za sens tak daleko odchodzić od oddziału. Te medytacje. Cale szczęście, że tamten ani pryska, ani mierzy. Wprawdzie nie podnosi ręk, ale nawet w tym świetle widać, że jego zniemczenie nie ma nic z gotowości do skoku.

— Kto?

— Swój.

— Co?

— Nasz.

— Do kogo?

— Powiedzieli, żeby do dowódcy partyzantki. To mam oddać.

Chłopak przybliżył się i wyciągnął z zanadru litrową kankę. Nawet nie zabulgotało.

— Co to jest?

— Panie naczelniku, ja z Mokrzówek Nadrzecznych. Do naszej wsi przyszedł jeden aż z Przykopów. Z meldunkiem. Nie ma strachu, wie tylko Ziętarz i Garlica. Oni mnie przysłałi. Mam przekazać, że zrzut przyjął oddział „Siwego”, bo tam były lepsze warunki, a w rejonie Mokrzówek zrzutu nie będzie.

„Bartoszu” nie bardzo wiedział, z jakiego tonu zacząć.

— Słuchaj no...

— Antek.

— Najważniejszego nie powiedziałeś.

— To wszystko.

— Nie.

— Wszystko.

— Nie.

— A tak, hasło. Jakaś cyraneczka czy czapla, zapomniałem. W każdym razie ptak nadrzeczny. Nadrzeczny jak nasza wieś.

— Nie kogut czasem?

— No tak! Kurka wodna.

„Bartoszu” chciałby cisnąć czapką o ziemię; na to trzeba było czekać dziesięć dni! Na kuper wodnej kurki. Oto sylwestrowy podarunek. Szkoda, że wiadomość nie poczęła na zakończenie wojny. Wprawdzie z zapotrzebowaniem oddziału nie było najgorzej, z amunicją również, ale zawsze taki

miejsca, które zastał wolne, po grubych pniach sosen wspiął się cokolwiek ku górze. To i zachowała się jeszcze jaka taka widoczność. Mimo to „Bartoszu” nie za długo widział cień odchodzącego Antka.

Rozejrzył się po górnych piętach leśnej architektury. Księżyc przedzierając się z chmury na gałąź chciał ukazać swoją obecność.



Rys. Józef Tarłowski

Wrócił do oddziału. Zrodziło się w co nieco skwaszonych rejonach dowódcę psychiki, ale na zewnątrz brzmiało całkiem znośnie:

— Chłopey, czekaliśmy na zrzut. Przyjął go oddział „Siwego”, o czym dowiedziałem się przed chwilą od chłopaka wysłanego przez naszych zaufanych. Tych dziesięć dni w historii ruchu oporu nie będzie należało do najefektywniejszych, ale z pewnością do spędzonych w najgłębszej konspiracji i za to należy się jakaś nagroda. — Błysnęła faszka. — Oto ona. Nie będziemy tu pozostawali dłużej, a nie ma potrzeby obciążać nią marszu. Do dzieła.

W mig utworzył się filarecki krąg. Nawet znalazł się, nie wiadomo przez kogo przyrzucony, mały blaszany kubek. Przyciągnęło wysokim szumem po wierchach sosen.

— No tak. — „Bartoszu” udał, że strzepnął ostatnią kropkę. Udał, bo trochę więcej niż litr na dwunastu nakazywało oszczędzać amunicję, wyczerpując ją skutecznie i do dna, co też uczynił. Gorzki płomyk przeszedł po gardle. — No tak. Te dziesięć dni nie wstrząsnęły światem, ale przyniosły dobrą szkołę organizacji partyzanckiej. Wielu z nas wstąpiło do oddziału niedawno i nie przypuszczaliśmy, że życie się naszej grupy nastąpi tak szybko. Tymczasem według regulami-

Opowieści zimowe

Dokończenie ze str. 1

długie noce, przysłany stały szkocki deszcz i silne wiatry z nad Morza Północnego.

Nad morzem odbywały się stale lotnicze ćwiczebne strzelania do worka ciągniętego przez samolot. Pewnego dnia morze wyrzuciło na brzeg jeden z takich zestrzelonych worków. Był z pięknego czerwonego jedwabiu. Zastanawialiśmy się, co z nim zrobić. I wówczas przyszło nam na myśl, że czerwony jedwab świetnie by się nadawał na płaszc dla św. Mikołaja.

Pomysł zorganizowania św. Mikołaja dla miejscowych dzieci przyjęto z zapalem. Uszyte przez jednego z żołnierzy, krawca z zawodu, płaszc i rogacynka, z „gronostajem” z waty, wypadły niespaniale. Podchorąży Czesielski, najlepszy w tym czasie „Anglik”, porozumiał się z miejscową nauczycielką, wywiadywał się, co trzeba, o każdym z miejscowych dzieci (a było tych dzieci w wieku od 5 do 10 lat akurat tyle, ile nas w plutonie) i nastąpiło lotowanie, kto jakiemu dziecku przyniesie prezenty. [...] W rezultacie wszyscy się na długi czas padużyli, lecz im-ponująca wypada niespaniale.

Zaczęło się od filiżanki kakao z ciastkiem. Potem wszedł na salę św. Mikołaj z pękiem balonów, na których były wymalowane imiona dzieci, i do których przywiązano paczki z lakociami. Gdy zdawało się, że to już wszystko, przyniesiono kosze z zabawkami. Wrażenie było ogromne. Szkoci byli zaszokowani. Nie wiedzieli, jak się zrzeczować. Z początku chcieli cały nasz pluton zawiązać autobusami do Edynburga na przedstawienie baletowe. Ale... pluton nie mógł opuścić swoich stanowisk wojennych... Ostatecznie wyprawili nam bogate przyjęcie i sprowadzili szkocki zespół kobziarzy. Od tego momentu zadzierzgnęły się między nami serdeczne, przyjacielskie stosunki.

Mięzło kilka lat. Znalazłem się późną jesienią 1944 r. wraz z moją 2 Brygadą Pancerną, wchodzącą w skład 2 Korpusu, w północnych Apeninach. Oddziały rozlokowały się na górskich biednych wsiach. Nadciągnęła zima, a tu domy zrujnowane, najczęściej bez szyb w oknach, brak żywności. Słowem — nędra wyjątkowa wśród cywilnej ludności. Przemile włoskie „bambina” obdarłe i ziębnięte, nie były tylko głodne, gdyż karmity się z naszych żołnierskich kotłów.

Zbliżał się 6 grudnia. Do Polski, do naszych dzieci i w tym roku św. Mikołaj także nie przybędzie... Ale — pomysłowo wielu z nas — można by „w zastępstwie” zorganizować Mikołaja dla tych biednych dzieci włoskich.

Rzucaną myśl podjęły wszystkie jednostki 2 Brygady Pancernej z entuzjazmem. Ruszyły samochody do Fano, Arezzo, Florencji, a nawet do Rzymu — kupić co się da... Rozwinęto się współzawodnictwo. Dowiadrywano się, co który oddział zdobył. Żaden nie chciał być gorzszym.

Z czekoladą i słodyczami nie było kłopotów, dostarczyła ich NAAFI. Gorzej z bucieczkami, szalkami, rękawiczkami i całymi ubrankami, o które w tym okresie we Włoszech było bardzo trudno. Ale 6 grudnia 1944 roku na rynek każdej wioski wjechał czołg z biskupem św. Mikołajem. O szaty biskupie, infule, pastorał i resztę wcale nie było trudno, jako że w prawie każdej większej wiosce we Włoszech była biskup. Św. Mikołaj miał zazwyczaj w asyście — aniołka. No, ale przede wszystkim w czołgu i na jego przyczepie widniały kosze z workami z podarkami.

Żadne dziecko nie zostało pominięte. Dla kilkuset przemitych „bambinów” był to naprawdę radosny dzień. A żaden polski żołnierz, wzdychając ich żywiołową radość, nie żałował wydanych pieniędzy.

Opowieść Tadeusza Szumańskiego bardzo się podobała zebrany. Kiedy spełnił kolejny toast, głos zabrał pan Jerzy Wojciechowski. Jego wojenny życiorys różnił się bardzo od barwnej drogi bojowej szermierza. Przez całą wojnę spędził w jenieckim obojgu. Były to lata niezwykle ciężkie dla uwięzionych tam oficerów.

Ale zdarzały się także jaśniejsze momenty, nie pozbawione nieraz komizmu. I to właśnie momenty pozwalały wielu ludziom przetrwać codzienną rzeczywistość.

Od dawną uwarło się w naszym społeczeństwie przekonanie — rozpoczął pan Wojciechowski — o znakomitym zmyśle organizacyjnym Niemców, o ich dokładności i skrupulozności w wykonywaniu obowiązków. Jest w tym niewątpliwie dużo prawdy, ale jednocześnie trzeba przyznać rację tym, którzy twierdzą, że tak ważne w życiu społecznym cechy zawadzą w sytuacjach nieoczywistych, zwłaszcza tam, gdzie trzeba operować wyobraźnią, a szczególnie gdy jedynym wyjściem jest improvisacja i podejmowanie decyzji nie opartych o chłodny rachunek i przygotowanie. [...] Jednym z przykładów przesadności mitu o niemieckiej skrupulatności niech będzie „Historia drewnianego zegara”, jaka miała miejsce w Oflagu II C.

Gdzieś w 1942 czy w 1943 roku kilku podchorążych zamkniętych w tym obozie, ludzi z dużym zmysłem majsterkowania, zdecydowało, że takie „mistačko” jak nasz obóz, liczące blisko siedem tysięcy mieszkańców, powinno posiadać zegar uliczny. [...] Ponieważ zegara takiego Niemcy, oczywiście, nie dostarczyli, więc należało zbudować go we własnym zakresie.

Pomyśleli, przedyskutowali rzecz całą i zabraли się do roboty. Ale, oczywiście, tak jak wiele innych rzeczy wykonanych w obozie, zegar ten musiał być trochę niezwykły... Postanowiono, że będzie zbudowany wyłącznie z drewna, bez jakichkolwiek części metalowych.

I rzeczywiście: zegar taki zbudowano i ustawiono w centrum obozu, przy jego głównej ulicy.

Zegar był solidny, miał chyba dwa metry wysokości i był obudowany specjalną szafką. Dość duża tarcza zegarowa widoczna była ze znacznej odległości. [...] Nie znam się na tym, więc nie potrafię opisać konstrukcji zegara oraz zasady, na jakiej działał, ale jest faktem, że chodził bardzo dobrze. [...]

Po dłuższym okresie funkcjonowania zegara przyjechała pewnego razu do obozu ekipa kontrolna wysokich niemieckich władz zwierzchnich, bodajże z Berlina. Jej zadaniem było sprawdzenie gospodarki administracji obozowej. Zaczęło się dokładne wertowanie wszelkiego rodzaju ksiąg rachunkowych oraz dokumentów gospodarczych.

W trakcie kontroli natknięto się w rejestrze wydawanego węgla na potycję: „na opalanie zegara — X kg węgla”. Za pierwszym razem pozycja ta jakaś uszła szczególniejszej uwadze kontrolera. Ale gdy po jakimś czasie powtórzyła się po raz drugi i trzeci, Niemców to zastanowiło. Zażądali od administracji obozu wyjaśnień. „Nasi” Niemcy z całym spokojem zaczęli tłumaczyć, że... jeńcy budowali na placu zegar, który regularnie chodzi, a ponieważ jest to rzecz pożyteczna, więc trzeba go utrzymywać w ciągłym ruchu. Do tego zaś konieczne jest ogrzewanie zegara w miesiącach zimowych, aby smary nie zamarły i mechanizm nie stanął. Kontrolerzy byli nie tyle zdumieni owymi wywodami, ile zainteresowani stroną techniczną całego „zapędzenia”. I czym prędzej kazali pokazać sobie owo niezwykle „cudo”. Gdy podszli do zegara i zaczęli go oglądać, nie obezło się bez pytania: gdzie i w jaki sposób działa ogrzewanie? Na to już, oczywiście, nie można było — ku przerażeniu „gospodarzy” — dać odpowiedzi. No, bo jak ogrzewać zegar nie posiadający ani jednej części metalowej?

Wybuchł skandal, gdyż nie można było znaleźć żadnego uzasadnienia dla wykazanego w księgach rozchodu opału. I tak oto wzięli, sprytnie „organizowany” przez naszych starszych pracujących w składzie opałowym, nie mógł być już dalej sprzedawany przez nich do niedogrzanych i ciemnych baraków oficerskich. [...]

Zegar, choć już „nie opalany”, chodził nadal. My zaś, mimo powrotu znowa do baraków, mieliśmy znakomity powód do uciechy, że Niemcy tak dawali się nabierać naszym sprytniarzom... I chcieli wygrać wojnę z takim przeciwnikiem!

— To są typowe chwile grozy i śmiechu, przepiękające się ze sobą w życiu żołnierza! — zauważył inny ze starszych panów zebranych przy stole. — Przypomina mi to niezwykle historię, jakiej byłem świadkiem zimą 1946 r. we Włoszech. Głównymi jej bohaterami byli niedźwiedź oraz pewien młody polski żołnierz, który nie chciał dłużej obchodzić się ze zwierzętami.

Nie tylko w oddziałach 2 Korpusu, ale we wszystkich formacjach alianckich we Włoszech, ogromną popularnością cieszył się „Wojtek”. Był to ogromny niedźwiedź, wychowany od młodego w 22 Kompanii Zapatrzenia Artylerii. Towarzyszył samochodom kompanii, stojąc na skrzyni wozu (gdy w stojerce się nie mieścił) i oparty o bujkę stożera rozglądał się ciekawie, wzbudzając sensację.

Gdy w czasie walk o Monte Cassino „Wojtek” pomagał żołnierzom wyładowywać pociski ciężkiej artylerii, a potem chłopcy na swoich wozach (jako znak rozpoznawczy) wymalowali niedźwiedzia z pociskiem artyleryjskim w łapach, popularność „Wojtka z Monte Cassino” wzrosła jeszcze bardziej. Na każdym postoju otaczał go tłum gapiów, co zresztą bardzo lubił, gdyż od czasu do czasu fundował mu ktoś piwo. Siedział wówczas i z namaszczeniem trzymając butelkę obu łapami, wyszczał ją do góry. Potem jeszcze jednym i drugim okiem zaglądał do butelki, czy przypadkiem coś nie zostało. Miał też i inną dziwną namiętność. Mianowicie bardzo lubił okurki papierosów. Całymi papierosami gardził, ale półkę się okurek tykał z upodobaniem.

Opowiadali mi żołnierze z kompanii, jaką frajdę im kiedyś „Wojtek” zrobił. Otóż któregoś dnia wieczorem obok ich namiotów rozbili swoje namioty 12 Kompanii Transportowa Pomocniczej Służby Kobiet. Rano skoro świt „Wojtek” wybrał się na inspekcję namiotów pan. Przerzucił jego wizytę, z piśkieni wyskakiwały z namiotów, tak jak spaly. A że noc była upalna, nie miały one albo niewiele na sobie. Chłopcy mieli wielką frajdę, a „Wojtek” tego dnia opił się piwem.

W końcu 1945 r. kompania przybyła do Neapolu celem caładowania się na okręt do Anglii. Rozlokowała się obok portu, w transit-campie „Wojtka”, żeby nie rozrabiał, przywiązano łańcuchem do drzewa. Ze zaś było gorąco (co z tego, że zima, ale w Italii), polewano go od czasu do czasu wodą, aż utworzyła się pod nim pokaźna błotnista kałuża... „Wojtka” otaczał międzynarodowy tłum gapiów, w którym byłem i ja. W tłumie stał również młody kapralik — wyprasowany i wysielgany kapral — „na wypad” do Neapolu. Złośliwiec doskakiwał co pięć minut i z drzewa szarpał „Wojtka” za kulszo. Krzyżaliśmy: „Daj spokój „Wojtkowi!” Ale on po chwili poszedł pod drzewo. I wówczas zobaczyłem, z jaką szybkością niedźwiedź potrafi się poruszać. Błyskawicznie skoczył za drzewo i... złapał kaprala wpół!

Zamarliśmy z przerażenia. Rozłożony niedźwiedź mógł na naszych oczach skrócić kark kapralikowi [...]. Tymczasem „Wojtek” przytrzymał kaprala do siebie. Ten — błędy jak ściana — nie próbował się wyrwać. Niedźwiedź przyglądał mu się przez chwilę, jakby się namyślając, co z nim zrobić. W końcu położył go do bajora i... zaczął targać. Tarzał dokładnie, jakby uważając, żeby nic na kapralu nie zostało suche.

Widok był bardzo zabawny, ale nie mogliśmy się śmiać, gdyż nie wiadomo było, jak to się skończy. Dopiero gdy nadbiegł Piotr, żołnierz, który stale opiekował się „Wojtkiem”, i odciągnął niedźwiedzia, zaś kapralik wyskoczył z bajora jak z ukropu — ryknęliśmy śmiechem. Śmiałyśmy się do tego „Wojtek” dostał w nagrodę parę piwa, a kapralik musiał pójść, jak stał, pod prysznic i z „wypadu” do Neapolu w tym dniu nic nie wyszło.

— Mnie w czasie mojej „zimowej przygody” wcale nie było do śmiechu — powiedział w zamysleniu siedzący po drugiej stronie stołu pan Leon Marszałek, uczestnik Powstania Warszawskiego. Udało mu się po kapitulacji powstańców oddziałów zbiec z jenieckiego transportu jadącego w stronę Niemiec. Zamelinował się u kolegi z konspiracji, który mieszkał teraz w Częstochowie. Ale przemysłliwy wciąż o dotarciu do matki zamieszkałej w

Będzinie, znajdującym się wówczas już na terenie Reichu.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Postanowiliśmy wysłać do matki list z życzeniami świątecznymi i noworocznymi. Ale że się ukrywałem i w dodatku miałem nie najlepsze falshywe dokumenty, co mogło w każdej chwili skończyć się fatalną „upadką”, powstał problem z zanieśieniem listu na pocztę. Ponieważ nie było akurat chętnych, żeby mnie w tym wyręczyć, więc poszedłem sam.

Była godzina 17. Ciemno i mroźno. Drobne igielki śniegu, gnane wiatrem, zaczynały w twarz i ręce. [...] Ostrożnie szedłem z ulicy Berka Joselewicza do głównej poczty. Doszedłem na miejsce szczęśliwie. Ale gdy wrzuciłem już list do skrzynki, postłyszałem niemieckie: „Halt! Ausweis!” W jednej chwili zdałem sobie sprawę, że znalazłem się w kotle, z którego nie ma wyjścia.

Ludzie próbowali uciekać, ale zagradyły im drogę niemieckie kolby. Ja nie uciekałem. Przeciwnie. Skierowałem się ku ciężarówce czekającej na ofiarę łapanki i dobrowolnie wszedłem do środka. Nikt mnie nie zatrzymał, nikt mnie nie legitymował. Dlaczego tak zrobiłem, nie potrafię do dzisiaj dać rozsądnej odpowiedzi.

Gdy ciężarówka zaczęła się wypłniać, dowiedziałem się od innych schwytych, że zabrano im dokumenty. Pomyślałem, że moje położenie jest pomyślniejsze, bo dokumenty — jakie by były — mam przy sobie. Gdy samochód został wypełniony, odwieziono nas pod eskortą do Arbeitsamtu. Tam była już na placu znaczna liczba zatrzymanych kobiet, mężczyzn i dzieci. [...]

Przez cały czas pilnie obserwowałem, co będzie się działo dalej. Spostrzegłem, że przez bramę wchodzi i wychodzą na zewnątrz jacyś cywile, którzy „hajlują”, a wartownik oddaje im honory na baczność. Do głowy przyszła mi szaleńcza myśl... Jak w transie — wychodzę z szeregu i marszowym krokiem, wśród mundurowych i cywilnych Niemców otaczających tłum zatrzymanych, przechodzę wzdłuż szeregów. Nikt nie zwraca na to uwagi. Zachęca mnie to do dalszego działania. Kieruję się w stronę bramy. Staram się zachować pewność ruchów. Serce wali jak młot kowalski, nogi z każdym krokiem stają się coraz bardziej miękkie, a odległość — i bramę — ciągle duża! Wreszcie — jest brama... Wytrzymał napięcie... Nie zdążył się! Jeszcze kilka sekund! Już!!!

„Hajluję” wartownikowi. Wartownik staje na baczność. I... przepuszcza mnie na zewnątrz. Chcę przyspieszyć kroku, ale nogi — jak przypawione... Boję się obejrzeć za siebie, zdaje mi się, że za chwilę padnie strzał i będzie koniec. Ale strzał nie pada [...].

Było to 18 grudnia 1944 roku; na sześć dni przed Wigilią.

Opowieści ciągnęły się długo w noc, bo uczestników przyjęcia urodzinowego było kilkunastu, a każdy z nich chował w zanadrzu jakąś niezwykłą historię.

Taki kombatancki wieczór wspomnień nie byłby może specjalnym ewenementem, gdyby nie fakt, że jeden z gości uczestników spisał wówczas usłyszane przy stole opowieści. A następnie owe zaistnienia opracował i odtbil na powialeczu. Ze zaś znał się trochę na sztuce editorskiej, powstała wykonana domowym sposobem niewielka książeczka, w nakładzie niespełna trzydziestu egzemplarzy. Każdą — przeznaczony dla uczestnika namietnego urodzinowego spotkania. Oraz dla najbliższych przyjaciół.

Książka — absolutny ewenement. Książka — swoisty „biały kruk”. Na okładce widnieje tytuł: „Echa wojny — we wspomnieniach kombatanatów”. Na 87 stronach zamieszczono 29 opowieści 13 współautorów książki. Tomik zedytkowano Tadeuszowi Szumańskiemu jako dar urodzinowy.

Może przy dzisiejszych trudnościach wydawniczych „książki towarzyskie”, takie jak tutaj opisana, zdołałyby jakoś wypełnić wciąż powiększającą się lukę w ocalaniu dla historii podobnych wojennych ludzkich przeżyć?

„Echa wojny” otrzymałem w „gwiazdkowym” prezencie od Tadeusza Szumańskiego. I na Boże Narodzenie roku 1988 chciałem podzielić się częścią ich unikalnej zawartości z czytelnikami.

Mirosław Derecki

TEMAT Indianina obecny jest niemal codziennie w brazylijskiej prasie, często mówi się o nim w radio i TV, ale przeciętny mieszkaniec tego kraju w gruncie rzeczy niewiele wie o człowieku, który żył na tych ziemiach od bardzo dawna i któremu podbicie jego lądu przyniosło klęskę. O pochodzeniu wie tyle, ile nauczono go na lekcjach historii i geografii, ukazujących stereotypowy obraz „czerwono-skórego”, a wiedza ta jest bardzo wyrwywkowa i nie uwzględnia rezultatów najnowszych badań; o sytuacji obecnej ma najczęściej uproszczoną informację dziennikarską, daleką od ukazania dramatycznych przeżyć, jakie bez końca przychodzi Indianinowi przeżywać na rodzimym terenie. Prawowity mieszkaniec kontynentu amerykańskiego, spychany nieustannie w najtrudniejsze klimatycznie regiony kraju, jest niepotrzebny, „hamuje rozwój” — nie wiadomo, skąd przyszedł i dlaczego jeszcze istnieje.

Od pierwszych kontaktów z Indianinami aż do początków XX wieku Europejczyk stykał się z różnymi hipotezami na temat pochodzenia tej ludności. Wyszukiwano teorie o przodkach semickich, fenickich, mongolskich, tatarskich i innych. Wymieniano nawet Atlantydę, która umożliwiła migrację ze Starego Świata do Ameryki. Pochodzeniem człowieka amerykańskiego w dalszym ciągu zajmują się badacze wielu dyscyplin: antropologia, archeologia, geologia, paleontologia — wnoszący swoje cząstkowe hipotezy do coraz pełniejszego obrazu. Niektóre studia podkreślają zbieżne cechy wszystkich Indian, usiłując znaleźć jedno wspólne pochodzenie — z Azji Wschodniej. Inne ustalają różnice, dzieląc lud indiański na kilka grup, pochodzących z Tasmanii, Australii, Melanezji, Mongolii i ziem zamieszkałych przez Eskimosów.

Etnolog francuski Paul Rivet — opierając się na podobieństwach etnograficznych, lingwistycznych i biologicznych — uważa, że w zaludnieniu Ameryki uczestniczyły prawie wszystkie ludy azjatyckie (przez Cieśninę Beringa), melanezyjskie, australijskie (przez Ziemię Ognistą) i polinezyjskie. Wszyscy naukowcy zgodni są co do następujących ustaleń:

- człowiek żyjący w Ameryce przybył z zewnątrz;
- największa migracja odbyła się przez Cieśninę Beringa;
- pierwsze grupy ludności pojawiły się w Ameryce mniej więcej 40 tysięcy lat temu;
- w pierwszym okresie obecności na lądzie amerykańskim mieszkańcy zajmowali się myślistwem, rybolowstwem i prawdopodobnie ziemi nie uprawiali;
- ostatnie grupy migracyjne stanowili Eskimosi, którzy osiedlili się na północy kontynentu.

Jeśli pochodzenie Indian stanowi wciąż jeszcze otwarty problem dla społeczeństwa stworzonego przez Europejczyków, Indianie ze swej strony stawiają sobie pytania: kim są ci cywilizowani ludzie, którzy najechali na te ziemie? Co oznacza określenie „odkrywców” Ameryki? Jak można odkryć te ziemie, skoro od prawników zamieszkiwane były przez nich, Indian? Na pytanie o pochodzenie białego człowieka poszczególne plemiona mają różne odpowiedzi. Oczywiście, nie dysponują one wiedzą ludzi „cywilizowanych” — jak ich najczęściej nazywają; znajomość geografii nie wybiega dalej niż odległość, jaką poznał członek danego szczepu, znajomość biologii jest minimalna, nie znają też precyzyjnych narzędzi naukowych. Zdziwienie zdobywcą i jego pochodzeniem objawia się przede wszystkim w mitach.

Oto przykład zaczerpnięty z mitu plemienia Krahô, żyjącego w stanach Maranhão i Goiás na północy Brazylii, który łączy pochodzenie białego człowieka z przemianami małego chłopca o imieniu Auké. Według wierzeń — dawniej, kiedy nie było jeszcze białych i istnieć tylko Indianie, jedna z kobiet szczepu, spodziewająca się dziecka, kąpała się często w pobliskiej rzece. Nie narodzone jeszcze niemowlę „wychodziło” z niej, przybierając postać różnych zwierząt i bawiło się na brzegu. Po urodzeniu Auké natychmiast zmienił się w młodzieńca, potem w dorosłego mężczyznę i wreszcie w starca. Przeraził Indianie usiłovali go zabić, ale Auké przybrał postać suchego liścia. Spalili więc liść. Kiedy dziadek chciał zebrać popiół, w tym miejscu stał już zasobny dom i zagrody z domowymi zwierzętami, a właścicielem posiadłości był Auké — pierwszy biały człowiek. Zaproponował on dziadkowi, aby sprowadził Indian z wioski, a następnie dał im do wyboru łuk i strzałę. Indianie wybrali łuk. Gdyby wybrali strzałę — zmieniliby się w „cywilizowanych”; decydując się na łuk — pozostali Indianami.

W historii tej Indianie Krahô nie tylko wyjaśniają sobie pochodzenie białego człowieka, mówią też o ubóstwie Indian wobec świata innych.

Nazwa „Indianin” nadana została zastanemu w Ameryce człowiekowi przez Kolumba, który sądził, że znalazł się w Indiach. Przyjęła się zarówno dla wysoko rozwiniętych cywilizacji Azteków, Majów i Inków — wspaniałych budowniczych miast, świątyń i dróg, jak też dla ludności żyjącej w wioskach ze słomy. Białym kolonizatorom łatwo było początkowo odróżnić Indianina, był nim każdy człowiek, który żył na zachodniej półkuli. Trudniej jest obecnie — po 500 latach powstała wielka mieszanina ras ze związków białych z Indianinami (Metyśi), czarnych z Indianinami (Cafuzos), a także Metyśów i Cafuzos. Liczne plemiona indiańskie przez te kilkadziesiąt lat przejęły narzędzia, wierzenia, obyczaje i często ubiór białych. Czy więc ludność, która zaakceptowała tyle cywilizacyjnych elemen-

tów, można nazywać jeszcze indiańską? A z kolei Indianin, który żył na tych ziemiach długo przed powstaniem państwa, jest Brazylijczykiem? Szczególnie, że swobodnie przekracza granice, udając się w odwiedziny do krewnych w Wenezueli czy Kolumbii!

Potrzeba ustalenia odpowiedzi na te pytania ma wielki aspekt praktyczny, bowiem wszystkie państwa amerykańskie powołały instytucje i organizacje zajmujące się ochroną Indian, którym grozi całkowita zagłada. Na terenach Brazylii, na przykład, portugalscy konkwestadorzy zostali na początku XVI wieku 7 milionów Indian, a statystyka za rok 1988 podaje liczbę 1 miliona 200 tysięcy. Ponad połowa Indian brazylijskich żyje na terenach Amazonii (94 plemiona), w centralnej i zachodniej części kraju — 34 plemiona, reszta — z ogólnej liczby 170 plemion — rozproszona jest w stanach południowych i wzdłuż północnego wybrzeża. Tereny te w ostatnich dziesięcioleciach intensywnie są zagospodarowywane: powstają drogi, farmy hodowlane i rybne, liczne obiekty przemysłowe, w związku z czym Indianie przesiedlani bywają wielokrotnie, wywożeni na zachód i skupiani w rezerwach.

Indianie brazylijscy

Teresa Hrankowska

Spośród wszystkich plemion — 33 są prawie całkowicie izolowane; 23 mają luźny kontakt z cywilizacją — używają już narzędzi żelaznych i broni palnej, korzystają z radia, noszą zegarki; liczna grupa 45 plemion stale kontaktuje się z ludnością białą, a ich język i zwyczaje ulegają dużym przemianom, reszta zintegrowana jest ze społeczeństwem brazylijskim i zajmuje się przede wszystkim rolnictwem.

Dzień Indianina brazylijskiego w głębi kraju to nieustanna walka o przeżycie — większość czasu poświęca on na zdobywanie pożywienia: uprawia ziemię, poluje, łowi ryby, zbiera leśny miód i przygotowuje narzędzia niezbędne do tej pracy, a także transportu i gotowania. Wytwarza też artykuły przeznaczone na sprzedaż: ceramikę, maty, hamaki, kosze i ozdoby. Organizacja pracy poszczególnych plemion uzależniona jest od środowiska naturalnego — tam, gdzie możliwa jest uprawa gleby, a więc łatwiejszy sposób zdobycia pożywienia, plemiona są liczniejsze i więcej czasu przeznaczają na rekondycję. Dodajmy, że wśród Indian nie ma specjalizacji. Oprócz jednostek, którym potrafi robić wszystko: mężczyźni budują chaty, robią czolna z kory lub palu orzaw, polują, kobiety gotują, tkają, wyszywają dzieci, a wszyscy uprawiają ziemię, plotą kosze i rzadziej w drewno.

W każdej wiosce najbardziej poważany mieszkaniec zostaje szefem „kacykiem”. Podobnie jak inni mężczyźni, zajmuje się on codziennymi pracami i na ogół ma tylko nieco większy niż inni kawałek ziemi, na której pomaga mu w pracy mieszkańcy wioski. „Kacyk” rozstrzyga spory, pośredniczy w zawieraniu małżeństw i występuje w imieniu grupy wobec „cywilizowanych”; ostatnio coraz częściej jeździ ze skargami do miasta. Nie zawsze jest przyjmowany przez władze i często nie ma komu przedstawić swoich racji, bowiem między Indianinami a władzami państwowymi od wielu lat istnieją ogniska pośrednie — organizacje, których zadaniem jest występowanie w obronie pokrzywdzonych, a które nie zdają egzaminu i są przedmiotem ostrej krytyki ludności indiańskiej.

Początki brazylijskiej ochrony Indian łączą się z nazwiskiem pułkownika Cândido Rondona, którego po upadku Cesarstwa i powstaniu Republiki (1889) zlecono ekspedycje w nie zbadane dotychczas regiony kraju. Ten niezwykle zdolny organizator założył około 3 tysiące km linii telegraficznych, sporządził mapy ponad 50 tys. km² i odkrył 12 rzek w Mato Grosso i Amazonii. Wraz z powstaniem Urzędu Ochrony Indian w roku 1890, pułkownik Rondon objął jego kierownictwo, zapisując się ogromnymi osiągnięciami w nawiązywaniu łączności z wieloma dzikimi szczepami: kierowane przez niego grupy badaczy dotarły do 80 plemion nie znających dotychczas białego człowieka, a nawiązane kontakty pozwoliły na uniknięcie licznych epidemii i chorób w wioskach indiańskich. Hasło Rondona „umierać, jeśli to konieczne, zabijać — nigdy” przejęły następne pokolenia Indianistów pracujących z pełnym oddaniem dla miejscowej ludności.

Niestety po śmierci Rondona sytuacja zmieniła się na gorsze w coraz ostrzejszym tempie. Spośród 700 pracowników Urzędu Ochrony Indian około 134 posądzono o działalność krzywdzącą wobec ludności indiańskiej: zarzucono im nieuczciwość, rozpisanie plemion i zaniebywanie podstawowych obowiązków. W rezultacie Urząd rozwiązano i w 1967 roku powołano Narodową Fundację Indianina (FUNAI), pozostającą w gestii Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Po ponad 20 latach działalności ponownie daje się zauważyć kryzys tej instytucji — najważniejszymi wobec niej zarzutami są biuro-

kracja i niewłaściwy podział dotacji finansowych. Wzrastająca świadomość ludności indiańskiej, której nieliczni przedstawiciele studiują lub ukończyli uczelnie, a także coraz ostrzej przebiegająca walka o ziemię — przeradzają się w bunt wobec jawnie naruszanych zasad współżycia. W 1984 roku podczas IV Światowego Kongresu Indian w Panamie po raz pierwszy uczestniczyli Indianie z Brazylii. 5 i 6 maja tego samego roku w stolicy kraju Brasili, zebrała się Unia Szczepów Brazylijskich, która na zakończenie obrad uchwaliła tekst opublikowany następnie w specjalnym numerze pisma „Aconteceu”, wydawanego przez Ekumeniczne Centrum Informacyjne, z następującymi ustaleniami:

- 1) Narodowa Fundacja Indianina nie może reprezentować ludności indiańskiej. Przy zbyt małych funduszach za wiele przeznaczają się na opłacenie 3200 urzędników i parku samochodowego;
- 2) Alarmująca sytuacja zdrowotna ludności indiańskiej — epidemie gruźlicy, ospy, malarii i czarnej febrzy, a także coraz częściej występujący rak żołądka i piersi wymagają natychmiastowych działań zapobiegawczych;

- 3) Konieczne staje się wypracowanie dwujęzycznego programu oświatowego, który umożliwiłby chętnym jednostkom naukę w szkołach podstawowych i średniej oraz na wyższych uczelniach;
- 4) Wobec jawnego naruszania granic ziem zamieszkałych przez Indian, należy wydać zarządzenie o natychmiastowym ich opuszczeniu przez rolników, górników, rybaków i pracowników drogowych;
- 5) Wszystkie negocjacje z Indianinami muszą być przeprowadzane bez pośrednictwa Narodowej Fundacji Indianina.

Mimo upływu kilku lat sytuacja nie uległa zmianie. Amazonia w dalszym ciągu jest sceną największych dramatów: w roku 1987 epidemia czarnej febrzy uśmierciła 87 Indian Apurina znad rzeki Purus, w dalszym też ciągu brazylijscy „fazendeiros” naruszają spokój tubylczej ludności — w marcu 1988 w sporach o ziemię zginęło 14 Indian Tikuna.

Polityka władz wobec Indian musi być bardzo elastyczna. Jak twierdzą Indianie — poszczególne plemiona różnią się od siebie „jak Chiny, Gwatemala i Afryka Południowa”. Jedne chcą tylko żyć w spokoju jak setki i tysiące lat temu, bez groźby wysiedlenia z rodzinnej ziemi i życia w skansenie. Inne czynią wysiłki w kierunku nauki dzieci; na przykład wspomniane plemię Tikuna w Amazonii zorganizowało dwujęzyczną naukę dla 500 uczniów. Jak twierdzi profesor Adelmo Fernandez, Indianin — utrzymany do chwili obecnej język rodzimy jest ważnym narzędziem zachowania tożsamości w ciągu 300 lat kontaktu z cywilizacją.

Wszyscy Indianie chcieliby wyzbyć się strachu. Zagrożeń są nieustannie zarówno działaniami władz terenowych, jak też agresją prywatnych właścicieli. Są bezbronni wobec bezprawia, niepewni w swoich „aldeiach” i niepewni w mieście, po gwałtownym przejściu z izolacji, ciszy i przyznanego kręgu znanych ludzi do świata obcych.

W jednym z numerów pisma „Porantim” poetka z plemienia Szawantów, Maria Kabakaraia, pisze do redakcji:

„Mój lud wyniszczony był przez choroby i nie się obecnie nie zmieniło. Teraz umiem czytać i pisać, chodzę po mieście jak cywilizowani — a jednocześnie czuję, jakim złem była integracja z nimi. Nie było wyjścia. Wiem, że dla bardzo wielu nie ma znaczenia. Nie mam studiów. Wstydzę się, że jestem Indianką. Nie noszę strojów. Jest mi źle.

Świat cywilizowanych jest fałszywy, pełen kłamstw, głodu i chorób, a ja czuję się jak wyrzucony pies.

Tu trzeba płacić za wszystko, Nie mówię już, że jestem Szawantką”.

Rok 1988 ogłoszono Rokiem Kultury Indiańskiej. Jednak milczą o nim środki masowego przekazu, a na pytanie o program — nawet pracownicy Muzeum Indianina w Rio de Janeiro nie potrafili dać odpowiedzi. Trudna sytuacja ekonomiczna, wzrastające zadłużenie i gwałtowna inflacja w Brazylii nie sprzyjają ani inicjatywom, ani dotacjom finansowym w tym wielkim kraju kontrastów.

Coraz więcej w naszej prasie tekstów o Polakach żyjących w Wilnie i we Lwowie. I może dlatego warto przeczytać, jak białoruski dziennikarz z Mińska widzi drugą stronę medalu: Białorusinów mieszkających w Polsce. Właśnie na łamach ukazującego się w Mińsku tygodnika „Literatura i Mastactwa” („Literatura i Sztuka”) ukazał się reportaż Borysa Saczanki; autor przebywał w naszym kraju i takie przywiózł z niego refleksje:

WJAKICH tylko krajach nie żyją Białorusini? Rozjechali się, rozproszyli, można powiedzieć, po całym świecie. Są również tacy, którzy mieszkają u siebie, na odwiecznej ojcowskiej ziemi, a jednak nie na Białorusi, jak na przykład Białostocczanie — mieszkańcy położonych w pobliżu Białowieżskiej Puszczy wsi i miasteczek, które z woli losu znalazły się po Wielkiej Wojnie Narodowej w granicach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Jest ich — Białorusinów-Białostoczan kilkadziesiąt tysięcy.

[...] W sąsiadującym z nami państwie działa, jak wiadomo Białoruskie Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne, ukazuje się tygodnik „Niwa”, istnieje literacko-artystyczna grupa „Białowieża”, która w tym roku obchodzi trzydziestolecie swojej działalności. W związku z tą rocznicą planowane były pewne przedsięwzięcia, na które właśnie nas zaproszono.

Borys Saczanka przebywał w Polsce w towarzystwie Serafima Antonowicza Andrajuka, redaktora naczelnego wydawnictwa „Mastackaja Literatura”, który — jak pisze B. Saczanka — urodził się na Białostocczyźnie, we wsi Gradział, ale obecnie mieszka w radzieckiej Białorusi, ani razu nie odwiedziwszy dotąd swoich rodzinnych miejsc.

— Czy wszyscy Andrajukowie wyjechali do Związku Radzieckiego i nikt nie pozostał w Gradziałach? — pyta B. Saczanka swojego współtowarzysza podróży.

— Dlaczego pozostali... Można powiedzieć, cała nasza rodzina.

— A ty nie chciałeś odwiedzić tych miejsc, gdzie się urodziłeś, gdzie minęło twoje dzieciństwo?

— Oczywiście, chciałem. W tym roku, kiedy byłem w Łodzi, nie udało się pojechać. Może obecnie się poszczęśli...

I Serafim Antonowicz nagle ożywił się, aż zarumienił się i zaczął wspominać jak od razu po wyzwoleniu, kiedy wiadomo było, że ich rodzinne strony przechodzą do Polski, do Gradział przyjechali przedstawiciele władz i oświadczyli, że ci, którzy nie chcą żyć w Polsce, mogą wyjechać do Związku Radzieckiego i wybrać jako miejsce swojego zamieszkania dowolne miasto lub wieś. I ojciec Serafima którego przez całe życie ciągnęło do władzy radzieckiej i który z tego powodu miał wiele nieprzyjemności i kłopotów ze strony polskich władz sanacyjnych, po wielu kłótniach i sporach z żoną, porzucił ojcowski kąt.

Przypomniało mi się, że są na Białorusi pisarze, którzy urodzili się na Białostocczyźnie — Alaksiej Karpiuk, Piatruś Makal, Władimir Kazbjaruk...

— Widocznie ich ojcowie nie chcieli mieszkać po drugiej stronie radzieckiej granicy — powiedziałem.

— Widzisz — zamyślił się S. Andrajuk — dążenie do zjednoczenia, do życia we wspólnej białoruskiej rodzinie było powszechne w całej Zachodniej Białorusi. [...]

Następnie B. Saczanka opisuje swoje spotkanie w Warszawie z Aleksandrem Barszczewskim, czyli Alesiem Barskim, przewodniczącym Głównego Zarządu Białoruskiego Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego, kierownikiem katedry filologii białoruskiej na Uniwersytecie Warszawskim:

Spędziliśmy z Alesiem ten dzień, i można powiedzieć, wszystkie pozostałe. I chodząc, jeżdżąc z nim cały czas myślałem, jak wiele energii, entuzjazmu jest w tym człowieku, jak kocha swój kraj i wszystko, co w nim ojczyste, białoruskie. Jeśli byłoby więcej takich ludzi, nie byłaby dzisiejsza Białoruś taka, jaka jest. Jest dumny ze swojej Białorusi, w każdej rozmowie broni wszystkiego, co ojczyste. Wiele z tego, co robi się dla nas w Polsce, jest jego zasługą. Śmiało i aktywnie broni tutaj naro-

dowych interesów mniejszości białoruskiej, przygotowuje nauczycieli białoruskich szkół, naukowców specjalizujących się w problematyce białoruskiej, recenzuje utwory literatury białoruskiej dla polskich wydawnictw, doradza, co wydawać, sam wiele tłumaczy.

[...] Nie tylko w Polsce broni Ales interesów Białostoczan, ale także na radzieckiej Białorusi, gdy tu przyjeżdża. Gdzie nie tylko, do jakich organów i urzędów się nie udaje aby powiedzieć, że za granicą, na Białostocczyźnie, mieszkają tacy sami Białorusini, jak u nas, w republice, że

wymagają zainteresowania i troski ze strony nie tylko władz polskich, ale i białoruskich. [...]

Czas posłuchać i samego Alesia.

Ales Barski:

[...] Staram się nie tylko pisać, ale i żyć tak, aby każdy, kto spotka się ze mną, nie miał wątpliwości, że ma do czynienia z Białorusinem. Nie uznaję pluralizmu językowego. Za błędną uważam tezę o dwóch językach ojczystrych. Odrzucam twierdzenie o tym, że naród białoruski nie może żyć bez opieki innych i że swój rozkwit im zawdzięcza. Uznaję takich poglądów oznaczają przyznanie własnej ułomności, niepełnowartościowości, fizycznej i duchowej podrzędności...

Nie wykorzeniam ani z siebie, ani ze swoich wierszy emocji. Nie wstydzę się uczuć, zwłaszcza narodowych, nie boję się deklaracji, zwłaszcza narodowych, nie unikam ekstremizmów, zwłaszcza narodowych. To wszystko jest nam, Białorusinom, zdominowanym przez obcych, niezbędne, aby uwierzyć w siebie i uzdrowić siebie. Człowiek, który chwytą za pióro, musi myśleć kategoriami ogólnonarodowymi. Jeśli tego nie potrafi lub nie chce, niech złamie i wyrzuci swoje pióro. Nie ma prawa pisać...

[...] Naród białoruski, podążając drogą pogardy do samego siebie, doszedł do przepaści. Jeśli nie przyjdzie do siebie, jeśli nie wyzwoli w sobie instynktu samozachowawczego — zginie.

Sił dla uzdrowienia należy poszukiwać w samym narodzie białoruskim. Właśnie staram się pracować na rzecz tej siły. To ciężka praca. Na białoruskość nie sposób zrobić kariery: ani naukowej, ani politycznej, ani poetyckiej. W każdym przypadku zrobienie kariery na gruncie białoruskim jest o wiele trudniejsze, aniżeli na gruncie jakiegokolwiek innego narodu europejskiego”.

Dalej B. Saczanka pisze o Warszawie:

Pierwszy raz ujrzałem ją w roku czterdziestym piątym, gdy wracałem z faszystowskiej niewoli do Ojczyzny. To było nie miasto, a ruiny, stopy cegieł, zawałające chodniki i ulice. Prawda, część ulic była już uprzątnięta, po niektórych z nich kursowały nawet tramwaje. Ale nazwać miastem te zwaliska można było chyba tylko umownie. Choć napatrzyłem się na różne zburzone miasta, prze-

jechałszy w kabinie ciężarówką, niemal całe Niemcy i Polskę, takiego czegoś, jak w Warszawie, jeszcze nie widziałem. Wstrząsnęło mną to, pozostało w pamięci na całe życie...

Po raz drugi zobaczyłem Warszawę po czterdziestu jeden latach — w 1986 roku. [...] Warszawa, oczywiście, była dawno odbudowana, odnowiona, chociaż pogoda nie sprzyjała, aby ją podziwiać — przez cały czas padał deszcz, było mokro, nieprzytulnie i wietrznie. Byliśmy też ostrożni, obawialiśmy się: zupełnie niedawno zakończył się stan wojenny [...]. Sklepy były puste, brakowało nawet najbardziej niezbędnych rzeczy — mydła, zapalek... Ludzie byli przygnębieni, milczący i nerwowi.

[...] Obecnie, podczas tej podróży, sytuacja w Warszawie była spokojniejsza. W sklepach — co mnie przyjemnie zaskoczyło — pełno było najprzeróżniejszych towarów. Pomidory, ogórki, wiśnie, truskawki, cebule, inne warzywa i owoce sprzedawano wprost na ulicach w budkach i sklepikach. Jedynymi towarami, na które wprowadzono kartki, były mięso i wędliny...

Na rynku „towarowym”, gdzie również byliśmy, zobaczyliśmy ogromne bogactwo towarów zagranicznych — odzież, obuwie, biżuterię, inne przedmioty luksusowe. Prawda, wszystko bardzo drogie. Wydawało się nam, że rozkwita tutaj niezwykła przykryta spekulacja. Przy czym co nas szczególnie zdziwiło, sprzedają i odsprzedają zajmowały się także dzieci. Sprzedawano i odsprzedawano również walutę — dolary, marki, funty, ruble. Wystarczyło, aby ktoś z nas wypowiedział rosyjskie słowo, od razu szyszeliszy: „Pan, masz ruble na sprzedaż?”...

Rzucano się w oczy jeszcze jedno — wiele sług bożych na ulicach Warszawy. Mężczyzn i kobiet. Przy tym młodych, zdolnych do pracy. Przyglądałem się nawet przez chwilę pewnej zakonnicy, kiedy weszła do sklepu jubilerskiego, gdzie sprzedawano ozdoby ze złota i srebra — oglądała pierścionki, łańcuszki, kolczyki przysmierzając zapewne je w myślach. Ale szybko przemogła w sobie pokusę i dumna, wyszła ze sklepu niczego nie kupując...

Kościół zawsze zajmował w Polsce szczególne miejsce w życiu kraju i jego mieszkańców. W najbardziej mrocznych czasach jednoczył Polaków, umacniał świadomość narodową. Zmieniała się władza, a Kościół pozostawał, jak gdyby symbolizując wieczność, podtrzymywał nie tylko wiarę w Boga, ale także w lepszą przyszłość. Także obecnie Kościół w Polsce — to wielka i realna siła, z którą musi się liczyć władza ludowa. Kościół pretenduje do rządzenia rozumami i sercami nie tylko Polaków, ale także Białorusinów, Ukraińców, Litwinów. W programie, opracowanym przez „Solidarność”, nie pominięto, w każdym wypadku, byłych Wschodnich Kresów. Co poniektórzy w żaden sposób nie mogą pogodzić się z tym że dzisiejsza Polska nie ma kolonii, jakie faktycznie posiadała w czasach sanacji.

W związku z tym duże zaciekawienie wywołuje konferencja, jaka odbyła się w Łodzi w dniach 23-25 października zorganizowana z inicjatywy jezuitów na temat mniejszości białoruskiej, ukraińskiej i litewskiej. Na konferencji o sprawach białoruskich mówili historyk Jury Turonak i pisarz Sokrat Janowicz. I jeden, i drugi nie mogli pominąć milczeniem

tego faktu, że Polacy w żaden sposób nie mogą uznać Białorusinów za równych sobie, za samodzielny naród, który, oczywiście, ma swoje zwyczaje i swój język. A jeśli nawet ktoś to uznaje, to mimo wszystko odnosi się z pełną pogardą. Rozpowszechniono na konferencji list księdza Władysława Czarniawskiego, który od 1963 roku przebywa w parafii we wsi Wiszniowa pod Wołożynem.

Opowiadając o przeszłości i teraźniejszości w liście podaje się fakty, jak Kościół polonizował Białorusinów nie pozwalając nawet tym księżom, którzy znali język białoruski, posługiwać się nim w kościołach. Władysław Czarniawski pisze: „W czasie I wojny światowej i zaraz po jej zakończeniu [...] używano języka białoruskiego w kościołach; po zakazaniu tego były wypadki, kiedy księży za to aresztowano. [...] Księża Białorusinów przesuwano z parafii na terytoria zamieszkałe przez Polaków albo zmuszano do wyjazdu za granicę. Ksiądz — Białorusin nie mógł być proboszczem białoruskiej parafii”. Następnie ksiądz Czarniawski opowiada o tym, jak dwaj księża, którzy

wystąpili w obronie białoruskich chłopów, zostali skarceni przez zwierzchnie władze kościelne. Władysław Czarniawski konkluduje: „W świetle tego zakazu rozumiałem, dlaczego Polacy przy takim autorytecie proboszcza, wójta, naczelnika policji pozwalali sobie na straszne bójki i zabójstwa we wsiach. Jednego zabijają, drugiego posadzają do więzienia i mniej będzie «białoruskich świń» na Kresach Wschodnich. Ich miejsce zajmą polscy osadnicy”. Powstało na Białorusi jeszcze jedno haniebne zjawisko, o którym z bólem i gniewem mówi Władysław Czarniawski — tak zwani „kościelni Polacy”. Będąc od urodzenia odwiecznymi Białorusinami ludzie ci byli zmuszani modlić się do Boga w języku, którego nie rozumieli — to znaczy po polsku. „Księża są takimi panami, że tego «chamskiego języka» — chociaż sami urodzili się na Białorusi — używać nie chcą. Niektórzy z nich mówią, że gdybym wydał księżce do nabożeństwa w języku białoruskim, spaliłby ją w najlepszym wypadku nie wzięłby jej do ręki i nie korzystali by z niej. Wszędzie chrześcijaństwo pomaga narodowi, kulturyje kulturę tego narodu, a u nas — opluwa” — pisze Władysław Czarniawski.

[...] Białostocczyzna zajmuje w historii naszego narodu znaczące miejsce. Tutaj znajduje się Supraśl — obecnie niewielkie miasteczko, gdzie wzniesiono jeden z wybitniejszych pomników architektury — klasztor Zwiastowania, zniszczony niestety przez faszystowskich okupantów w 1944 roku. W XVI wieku klasztor służył się w całym świecie słowiańskim swoją biblioteką, liczącą setki rękopisów i uważaną za jedną z największych w Wielkim Księstwie Litewskim.

[...] Obecnie Białystok jest administracyjnym centrum województwa białostockiego. Ma w nim swoją siedzibę Zarząd Główny Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, tutaj ukazuje się tygodnik „Niwa”, tutaj zbiera się na swoich posiedzeniach literacko-kulturalne stowarzyszenie „Białowieża”...

Ze spotkań z Białorusinami-Białostoczanami w Mińsku, a także z innymi dowiedzieliśmy się, że trudno powiedzieć, aby żyło im się w Polsce lekko. Wiele rzeczy pozostało, przeszło również do nowej ludowej

Białorusini w Polsce

władzy z okresu minionego. Nie wszyscy Polacy i obecnie uznają Białorusinów za naród, a język nasz — za język. Niemniej, BTS-K pracuje, dysponuje rozgałęzioną siatką podstawowych organizacji, które w terenie tworzą grupy amatorskiej działalności i domagają się, aby dzieci w szkołach uczyły się języka białoruskiego, słowem, aby nie zapominały, że na odwiecznej ojcowskiej ziemi żyją Białorusini. Wiele dobrego robi też „Białowieża”, skupiająca 30 osób, w tym 9 spośród nich — członków Związku Literatów Polskich, którzy piszą w języku białoruskim. [...]

Spśród tych członków „Białowieży”, którzy mieszkają w Białymstoku, talentem i znaczącym dorobkiem literackim wyróżnia się Sokrat Janowicz. [...] Jego publicystyczna książka „Białorus, Białorus” (1987), rozpatrująca na podstawie bogatego materiału fotograficznego wzajemne stosunki pomiędzy Polakami i Białorusinami, zyskała w całej Polsce szeroki rozgłos. [...]

Sokrat Janowicz o sobie:

[...] Książkę „Białorus, Białorus” specjalnie napisałem po polsku. Po białorusku — pozostałaby nie zauważona przez większość...

Pamięć historyczną narodu można odbudować. Przy pomocy publikacji, nauczania w szkole. Ale język, jeśli go utarcimy, nie nie wskrzesi. Taka już jego natura. Coraz więcej jest patriotów białoruskich nie mówiących po białorusku. Białoruską literaturę i kulturę na ogół poznają oni z przekładów rosyjskich i polskich. [...]

Poczucie narodowe bierze się z poczucia własnej godności. Z chęci życia swoimi wartościami. Posiadania własnej duszy, czyli — języka. Język nazywają okryciem duszy. Niech będzie. Przecież ślepy nawet widzi, że stajemy się nady. Wkrótce staniemy się jak Adam i Ewa.

Osobowość bez własnego „ja” — to nie osobowość. Naród bez własnego „ja” także nie jest narodem. Czy pod Sokółką mówią po białorusku? Aha, pojedź i powiedz, że oni są Białorusinami... Nogi pogubisz, uciekając! Nie język stanowi o narodzie, ale Pamięć.

A ja, Janowicz, sądzę że o wszystkim decyduje gospodarka. Przewaga wsi skończyła się razem z feudalizmem. Zaznacza się dominacja miasta. Rezultat? Panujący na wsi język białoruski zmienia się w miejską mniejszość. Z pozycji dominującej w peryferijnej w nowej sytuacji gospodarczej. Przecież miasto jest obce, od dawna innojęzyczne. I nigdy nie będzie mówić po białorusku. Będzie nawet rozumieć nasz język. Ale nie więcej. [...]

W Mińsku „pachniemy po polsku”. W Warszawie — na odwrót. Gdzie możemy się podzielić? W Białymstoku. Tylko w Białymstoku [...]

Niedawno przed naszą wizytą przebywała w Białymstoku rządowa delegacja Białoruskiej SRR, w której skład wchodził sekretarz KC KP Białorusi W. Piaczennikaw, zastępca przewodniczącego Rady Ministrów BSRR W. Kiebitz i inni. Była to pierwsza wizyta tak autorytatywnej oficjalnej delegacji i została przyjęta przez wszystkich Białorusinów jako dobry znak. Dlatego też do naszej delegacji odniesiono się z dużym szacunkiem. Opowiadano nam nie tylko o swoich potrzebach — a jest ich niemało — ale podzielono się także swoimi radościami.

Na spotkanie z nami przyszło wielu Białorusinów-Białostoczan. Wszyscy byli najbardziej ciekawi, jak przebiega w naszym kraju, a w szczególności na Białorusi, przebudowa, co nowego wnoszą ona do życia społeczeństwa.

Spotkanie przebiegało w przyjacielskiej atmosferze, wszyscy mówili szczerze, o tym, co kogo ciekawiło. Pytania sypały się jedno za drugim — to z naszej, to z ich strony. Czuło się jedno: wszystko, co dzieje się w naszej republice, w ten lub inny sposób dotyczy interesów wszystkich Białorusinów bez względu na to, gdzie mieszkają.

Sznyt na życiu

Marek Podgajny

PO piętnastu miesiącach od ostatniego spotkania wszedł do mojego pokoju. Siadł i sam zaczął rozmowę. Na początku wcale się nie kleiła ale później już swobodnie mówiliśmy o tym, co niektórzy nazywają „przerwą w życiorysie”.

— Kiedyś obejrzałem „Vabank”, potem jeszcze „Vabank II”. Wtedy bardzo spodobał mi się Kwinto. Nigdy, co prawda takich jak on kas nie otwierałem, ale za to każde samochodowe drzwi stały przede mną otworem. Z kolegami w pięciu czasami w sześcioro, sięgaliśmy do cudzych kieszeni, ale to była robota nie dla mnie. On wolał auta.

Gdy pewnego razu spóźnił się na autobus, „pożyczył” z parkingu samochód, dogonili nim pekaes a wóz zostawił na ulicy. Nie w głowie im było obskubywanie samochodów z kół czy akumulatorów. Szukali przygody...

Koleczy byli wtedy dla niego rodziną, przyjaciółmi i jedynymi znajomymi, bo z matką psuło się z dnia na dzień. Zdarzało się, że nie chciała dać mu jeść, nie mówiąc o jakichkolwiek pieniądzach. Taka była matczyzna kara za nocne eskapady i całonocne nieobecności syna w domu.

— Z matką nigdy nie było dobrze — mówi Darek o wspólnym mieszkaniu na kilkunastu metrach kwadratowych. Ojciec bez stałego zajęcia, lubiący mocne, acz niewyszukane trunki, też nie był obiektem synowskiej miłości. Bo i za co? —

Darek nie mówi o sobie jak o pokrzywdzonym przez los. Dzieciństwo miał normalne, nie wychowywał się przecież na ulicy, matka opiekowała się nim jak inne matki. Może tylko była bardziej surowa, rzadziej się uśmiechała, bo i życie z mężem-piżakiem było smutniejsze.

W szkole mu nie szło. Kłopoty z nauką zaczęły się już w czwartej, może w piątej klasie, ale zdawał do następnych.

— Szkołę zawodową rzuciłem, jak miałem szesnaście lat, bo nie wystarczało mi czasu na inne rzeczy.

W Dawkowym życiu odmieniło się coś na lepsze dopiero z początkiem 1986 roku. Aśka, przypadkiem poznana szatynka, po kilkumiesięcznej znajomości została jego „dziewczyną do chodzenia”.

Byli ze sobą całymi dniami. O czym rozmawiali, jak spędzali czas, tego nie chce powiedzieć. Przyznał się tylko, że było mu wtedy dobrze jak nigdy.

— Ty jeden mnie zrozumiałeś i potrafiłeś pocieszyć — mówiła mu, a później pisała o tym jeszcze w listach. Darek wreszcie uwierzył, że ma dziewczynę, że ma kogo do siebie przytulić. Dziwne ciepło rozchodziło się wtedy po całym ciele. Znajomości z kolegami jednak nie zerwał.

W Zaduszkach jeden z ich paczek poszedł na kłeszenie solo. Kiedy kopnął pustą już portmonetkę w kat pod fotel autobusu, za rękę złapała go okredzona kobieta. Na milicję, od słowa do słowa, sygnal wszystkich no kolej, jak leci. Nawet tych, którym grzeszki zdążyły już przyschnąć. Ich rozdrapwanie przed sądem zakończyło się dla trzech karą pozbawienia wolności.

Wcześniej Darek odbył w „czyściu” „głodówkę”. Mówi, że chciał w ten sposób przyspieszyć proces i wyrok, bo nie uśmiechało mu się siedzieć tam pięć miesięcy. Miał dość. Na początku marca 1987 roku dostał półtora roku, a stracił osiem i pół kilograma.

Któż tam dnia do Aśki dotarło, że przyjdzie jej trochę pobyc w siołmianym wdowieństwie. „Nic nie stanie na przeszkodzie, aby dalej Cię kochać. Kocham Cię, cenię, pragnę oraz tęsknię tak mocno, na ile potrafię” — napisała mu do „czyściu”

w pierwszym liście. Następny trafiał za nim już na Śląsk. Tam tylko na pierwszy rzut oka było groźnie. Barak, długi korytarz, opatulony gęstymi kratami z obu stron, w salach przyce na szesnaście osób.

— Na samej górze spaly „dziki”, ci, którzy jak jaskółki byli tam przelotem. Ja osiadłem niżej. W celu było tylko dwóch młodszych ode mnie. Reszta około dwudziestego roku życia, plus najstarszy — grupowy.

Wszyscy za podobne przestępstwa, na podobnych wyrokach.

W paczce z domu dostaje „krówki”, których papierki upstrzone były Aśki pismem: „Tęsknię za Tobą bardzo”, „Wracaj do NAS”, „Smutno mi samej”.

„Tam” pobudka była już o piątej rano a zaraz potem robota przy sprzątanii szpitala, kopanie rowów albo harówka przy torach. Zawsze robili to, czego za żadną cenę nie chcieli już robić zwykli pracownicy.

— Zeby się urwać z roboty, to po zwolnienie do lekarza trzeba było iść z głową pod pachą — mówił.

Czasem, gdy nie wracali do zakładu, jedli obiad na mieście. Raz w barze ludzie gapił się na wymalowane pomarańczową farbą napisy ZK na ich roboczych ubraniach. Tylko głód przykuł go wtedy do stolika i nie pozwolił odejść.

Po południu można było się zdrzemnąć na przyce, ale gdy zauważył to klawisz, lat wtedy dwa-trzy wiadra wody do środka i dyżurny musiał się „bujać” ze sprzątaniami. Więc raczej się nie kładł. Wieczorem był czas na telewizję, czasem robili im video. Co oglądali? Przeważnie był to „Rambo”, „Rocky”, jakaś komedia.

Tymczasem, gdy on nabywał więziennego obycia, Aśka pisała listy. Były one coraz dłuższe tklisze i coraz częściej pobrzmiwała w nich nutka żalu o to, że jest sama, że jest jej źle. W jednym z nich, niczym małe dziecko żądające gwiazdki z nieba, prosił go o jak najszybszy powrót. Szaleje, poniża się, smuci.

Darek odpisuje również często. Tak jak ona, posyła jej własnoręcznie napisane wiersze i teksty piosenek. Może tylko jego listy nie są tak czułe, na tyle serdeczne, jakby ona tego chciała. Za to stara się przestrzegać więzienną dyscyplinę, bo od tego zależy, czy będzie mógł wysłać list albo czy otrzyma coś z zewnątrz.

— Jej listy, jej obecność były wtedy dla mnie wszystkim. To dla niej wyszedłem wcześniej na wolność. Była motywacją, ktoś na mnie czekał...

W maju 1987 Darek obchodził swe osiemnaste urodziny. W więzieniu. Od Aśki dostał kolorową kartkę z życzeniami. Niby jeszcze dziecko, a już dojrzały mężczyzna.

Opalał się przy łopacie, gdy Aśka pierwszy miesiąc wakacji spędzała z matką nad morzem. Potem wyjechała do babki na podzamkową wieś i stamtąd dalej pisała swoje smutne, ale jemu bardzo potrzebne listy. Czas spędzała dosyć wesoło: na zabawach, wólczech po okolicy, kąpielach i grzybobraniach. Dawkowi zaczęła pisać, że nudzi się już mniej, że może wreszcie odetchnąć od smory, która wygoniła ją z miasta. On wzdychał tylko zadrzota i chciał nie chcąc, musiał znieść obecność przy jej boku Romka, który znał ją od bardzo dawna, a teraz zaczął adorować. Pewnej sierpniowej nocy wykorzystał okazję.

Wkrótce potem, dzięki usłudze przyjaciół, Darek dowiedział się już o wszystkim. Dokładnie pamięta, jak leżał wtedy na

przyce. Przed oczyma miał sprętny sąsiad z góry, a wydawało mu się, że widzi co innego.

Kiedy już napisał do niej list zupełnie inny od poprzednich — sygnał po kutek, chciał się upić „czajem”. Herbata była tak mocna, że aż go rozboleło serce. A może to nie od herbaty?

Na początku września przeczytał w liście od Aśki: „Błagam, nie rzuć się, bo mama się załamie i ja. Zegnaj”.

Wafel, najlepszy kumpel Darka z celi, na widok jego prawej pierśi powiedział mu wtedy:

— Sznyty z powodu jakiejś laski? Chłopie, nie warto!

Ona nie ukrywała w listach, że z nowym rokiem szkolnym znów wszystko się skomplikowało. Najpierw historia z Romkiem, później kilkudniowe węgry, awantury w domu. No i jeszcze to, że jej starszy brat powiedział, jakoby Darek miał odesłać wszystkie jej listy, a on je spalił.

Była załamana i wcale już nie tała przed nim, że gotowa jest na najgorsze... Darek jednak wciąż przysyłał listy pełne złości i bardzo dla niej nieprzyjemne. Zaczął je nawet wysyłać na adres swojej matki, a nie Aśki. Postanowiła spróbować raz jeszcze:

„Siedzę teraz u Ciebie w domu przy stole i piszę ten list. Twoja mamusia jest bardzo smutna z tego powodu, że napisałaś tak smutny i złośliwy list do niej. Czytając go przed 15 minutami, zrobiło mi się bardzo smutno i przykro, że popłakałam się. Taki wstyd, że płakałam przy Twojej mamusi, u Ciebie w domu.

Darek, przecież dobrze wiesz, że bardzo Cię kocham i nadal wierzę w Ciebie, więc proszę, nie załamuj się i wytrzymaj do końca, a przecież to już tylko kilkanaście dni, które nas dzielą. Piszesz, że nie zależy Ci na wyjściu, ale dlaczego? Przecież my z mamusią czekamy na Ciebie i odliczamy dzień po dniu, Twoja Smiesznotka”.

Wyszedł dopiero po Świętach Bożego Narodzenia.

— Miałem siedem tysięcy złotych w kieszeni i pustkę w głowie.

— Nowy 1988 rok witałem już w domu przed telewizorem.

— Aśka była w tym czasie u babki na wsi. Do niej wróciłem, ale Romkowi mordę przydałoby się obić za to zło, które zasiał między nami.

Gdy Aśka usłyszała od jego matki, że on już jest — rzuciła się do drzwi i z pracy do domu Darka biegiem pokonała niezły kawałek drogi. Po kilkunastu dniach wprowadziła się do ich ciasnego mieszkania i choć jego matka patrzyła na to krzywo, jednak ciapy Aśki jawnie już stały u drzwi obok innych.

Kłótnie pomiędzy nim a rodzicielką choć znów zaczęły się powtarzać, to jednak nie były już tak ostre jak przed rokiem. Matka jeździła przecież na Śląsk do niego, nie wyrzekała się syna i z jego powrotu cieszyła się tak samo jak Aśka. Ze łzami. Zapłaciła nawet te zasądzone pięćdziesiąt tysięcy złotych grzywny.

Pod koniec stycznia nie bez problemów znalazł wreszcie pracę dla siebie. Początkowo nigdzie go nie chcieli. Piętno.

Za murem Darek zmędział, przybrał na wadze; mówi, że nauczył się pracować, nawet u dziadka przy żniwach.

O swoim wstydzie nic nie mówi. Wspomina tylko takiego jednego, z którym był razem w celi. Tamten szedł kiedyś pijany przez miasto, wracał do domu. W kieszeni niósł pustą butelkę po bimbrze. Nie miał z czego zapłacić kołegium, więc musiał swoje odsiedzieć. Darek wszystkich się pyta, czy za to można kogoś wytykać palcami. „Ze siedział? Przecież nikomu nic złego nie zrobił”.

— Coś o Aśce? Jest taka sama jak ja, ma wady i zalety. Jestem pewien, że gdyby została ze mną, to będę w stanie żyć jak inni, porzucić kolegów, może założyć rodzinę, dom. To przecież jej imię wydzierałem sobie na lewym przedramieniu. Gdyby odeszła, to chyba wałnąłbym sobie w tym miejscu sznyt...

Intrygująca sprawa

BYŁA to prawda czy plotka? Rzecz dotyczy wiadomości zawartej w liście starosty buskiego Stanisława Żółkiewskiego, ojca hetmana, jakoby Jan Zamoyski, podówczas podkanclerzy koronny, miał dostąpić godności biskupa krakowskiego.

Zacytujmy jednak ów list. Pisał go Żółkiewski w Winnikach 14 kwietnia 1577 roku do starosty bełskiego i podkanclerzego koronnego Jana Zamoyskiego, swego powinowatego i przyjaciela. Czytamy w nim: „Miłościwy Panie podkanclerzy! [...] Jest o WMŚci ta sława, że WMŚc jest biskupem krakowskim. Jeśli to tak już przejrzenie i wola milego Boga, proszę, racz mi WMŚc o tym oznajmić, a jeśli żeby już to tak było, proszę, raczże też WMŚc pomnieć na mnie, służebnika swego [...]. Biskupstwo jest rzecz wielka, a WMŚci już po urzędach mało, a ja bym Pana Boga prosił za WMŚc. Starostwem bełskim mógłbyś mnie WMŚc naprawić, dom ubogi mój niejako podnieść, za dobrodziejstwo WMŚc wielką sławę sobie [odniesiesz], a ja do śmierci i z dziaćkami sługą. Jeśli byłoby to biskupstwo przy WMŚci nie było, tedy jednak proszę nie zapominać mnie WMŚc, bom wielkie szkody podjął w tych czasach, włócząc się za tymi pohanicy, a to i teraz się muszę za nimi znowu wlec z wielką utratą [...]. O te pieniądze, co przy WMŚci, nie śmiem się przyrzec, ale jednak, dla Pana Boga, miej WMŚc respekt na potrzeby i ubóstwo moje. Z tym się lasce WMŚci zalecam, z której proszę, abym nie był opuszczony”.

Adresat listu, starosta bełski i podkanclerzy koronny Jan Zamoyski, znajdował się dopiero u progu swej wielkiej kariery, liczył sobie 35 lat i był wdowcem po śmierci pierwszej żony, chorążanki lubelskiej Anny Ossolińskiej.

Choć na pierwszy rzut oka sprawa wyniesienia Jana Zamoyskiego na godność biskupa krakowskiego wydaje się mało prawdopodobna, była jednak możliwa. Spróbujmy to ukazać.

W Polsce tego okresu w Episkopacie panowało duże zaścianczenie. O wielu biskupach polskich z XVI wieku trudno powiedzieć, czy byli duchownymi, bawiącymi się w dyploma-

tów i polityków, czy politykami, trzymającymi godności duchowne jako środki utrzymania. Wiemy na przykład, że Paweł Wolski, siostrzeniec kanclerza wielkiego koronnego Krzysztofa Szyszkiewicza, po śmierci żony, gdy zaważowało biskupstwo poznańskie, prosił o nie i otrzymał tę godność. Podobnie Łukasz Górka po śmierci żony został biskupem kujawskim. Starania referendarza koronnego Stanisława Czarnkowskiego, osoby świeckiej, o biskupstwo poznańskie a potem o arcybiskupstwo gnieźnieńskie, popierał nawet ortodoksyjny Stanisław Hozjusz, kardynał i przywódca kontrreformacji w Polsce. Biskup warmiński Fabian Tetinger von Lossainen, gdy został wybrany przez kapitułę, miał zaledwie święcenia subdiakonatu, przed biskupim przyjął więc zarazem i święcenia kapłańskie, a potem, gdy odprawił jedną mszę, nikt go więcej przez jedenaście lat pasterstwa nie widział przy ołtarzu. Mikołaj Pac, nie tylko nie konsekrowany na biskupa ani wyświęcony na księdza, ale nawet nie katolik, a zapewne arjanin, siedział dwadzieścia siedem lat na biskupstwie kijowskim, mimo sprzeciwów składanych u króla. Jan Drohojowski, biskup kujawski, przyjaciel Andrzeja Frycza Modrzewskiego, nie wiadomo nawet, czy był katolikiem.

Przykłady tego typu można jeszcze mnożyć. Wprawdzie uchwała synodu z 1577 r. postanawiała, aby kandydat na biskupa miał przynajmniej od roku święcenia kapłańskie i żeby składał przysięgę, iż przy jego obiorze nie zachodzi symonia ale w praktyce wszystko to było do obejścia. Nie lepiej działo się w stolicy Piotrowej, w Rzymie. Nigdy Kościół katolicki nie upadł tak nisko, jak na przełomie XV/XVI wieku, za pontyfikatu Aleksandra VI Borgii; nigdy nie szerzyły się tak bardzo nepotyzm i symonia. Borgia wybrany w 1492 r. na tron Piotrowy w wyroku przekupnictwa elektorów, panował dwanaście lat wśród intryg i nieprawości, wykorzystując godność papieża nie do szerzenia Ewangelii i głoszenia chwały Boga, ale po to, by wydzwignąć do wysokich godności swych pazernych, zachłannych krewnych oraz oferować państwu swemu bastardowi, Cezarowi.

Nie istniały zatem, jak widzimy, większe przeszkody, aby Jan Zamoyski, który podówczas był wdowcem, został wyniesiony na wakujące po śmierci Franciszka Krasieńskiego biskupstwo krakowskie. Inna kwestia, czy Jan Zamoyski faktycznie myślał o zrezygnowaniu z kariery świeckiej na rzecz kariery duchownej. W karierze duchownej mógł dojść najwyżej do godności arcybiskupa gnieźnieńskiego, tj. prymasa Polski, nic więcej (godność papieża była wtedy dla Polaka nie do osiągnięcia), natomiast pięć się w górę w hierarchii urzędów świeckich to szansa na tak ważne, wpływowe urzędy, jak: kanclerstwo, podskarbiostwo czy hetmaństwo, oraz możliwość ożenku i budowania własnej potęgi majątkowej. Ostatecznie biskupem krakowskim został Piotr Myszkowski, zaś Jan Zamoyski rok później, w 1578 r. otrzymał jeden z najważniejszych urzędów w państwie — kanclerstwo wielkie koronne, by niedługo potem — w 1581 r. — sięgnąć jeszcze po hetmaństwo wielkie koronne. Skomasowawszy w rękę te dwa urzędy, stał się faktycznie pierwszą po królu w kraju osobą.

Zamoyski po śmierci swojej pierwszej żony Anny Ossolińskiej jeszcze trzykrotnie wstępował w związek małżeński. 29 grudnia 1577 r. poślubił on Krystynę Radziwiłłównę, córkę Mikołaja „Czarnego” i Elżbiety Szydłowieckiej. Ślub odbył się w Białej Podlaskiej, majątku Radziwiłła „Sierotki”, brata Krystyny. Wesele uroczyste fetowano w Ujazdowie, podwarszawskiej rezydencji królewskiej, na które to Jan Kochanowski dokończył „Odprawę posłów greckich”. Krystyna zmarła w 1580 r., mając niecałe 19 lat. Trzeci raz ożenił się Zamoyski z bratanicą króla Stefana Batorego — księżniczką siedmiogrodzką Gryzeldą. Wesele, o przepychu prawie monarszym, odbyło się w Krakowie w 1583 r. Gryzelda zmarła w 1590 r. w połogu. W niecałe dwa lata później Zamoyski ożenił się po raz czwarty. Jego wybranką była Barbara Tarnowska, córka kasztelana sandomierskiego Stanisława. Dopiero ta ostatnia obdarzyła pięćdziesięciodwuletniego wówczas kanclerza synem, któremu na cześć Tomasza z Łańcina, protoplasji rodu Zamoyskich, nadano imię Tomasz.



Portret Jana Zamoyskiego

Nie rezygnując z kariery świeckiej, nie odstąpił też Zamoyski w 1577 r. starostwa bełskiego Stanisławowi Żółkiewskiemu, o które to starostwo Żółkiewski upraszał się w liście do niego. Co więcej, Zamoyski sam będzie zachłannie zabiegał o nowe starostwa. Starostwa bowiem, hojnie rozdawane przez monarchów „dobrze zasłużonym”, były najłatwiejszym i najpewniejszym źródłem wzbogacenia się. Na królewskich dorabiali je tenentariusze majątku i rośli w potęgę. Łącznie przed i po 1577 r. udało się zgromadzić Zamoyskiemu 13 starostw, z których dwa, tj. krzeszowski i zamchowski, przeszły z czasem na jego dziedziczną własność. Szczodrym dla Zamoyskiego był zwłaszcza król Stefan Batory, który obdarzył go aż siedmioma starostwami: garwolińskim, międzyrzeckim, krzeszowskim, generalnym krakowskim, malborskim, jaworowskim i grodeckim. Dobrze zorientowany w sprawach polskich dyplomata papieski napisał o karierze Zamoyskiego: „To com słyszał od legata Geatano, kardynała Radziwiłła i innych, kanclerz Zamoyski ma być w królestwie tym pierwszą osobą pomiędzy prywatnymi, kiedy z nie bardzo majątnego szlachcica w przeciągu 20 lub 22 lat przyszedł do tego, że ma 200 000 szkodów dochodu i około miliona w gotowiznie, ma dwór liczny i takie wzięcie, iż król nawet starać się musi być z nim dobrze”. A zatem jeśli Jan Zamoyski w 1577 r. stał przed alternatywą: kariera duchowna czy świecka — czas pokazał, iż decyzja, którą wówczas podjął, była niewątpliwie słuszną.

Adam Andrzej Witusik

Marsz na grzybki

Dokończenie ze str. 9

W Przygaju mieli znajomego leśniczego i rzeczywiście on był celem. Zanim jednak osiągnięto leśniczówkę, partyzancki regulamin kazał wysłać ubezpieczenie. Dwóch na ochotnika. Po kwadransie wrócili z zakneblowanym Niemcem. „Bartosz” nie dał poznać po sobie, że został zaskoczony:

— Co jest?

— Jeden Niemiec.

Domyślając się, że o nim mowa, zandarm stanął na baczność.

— Zwinęliśmy go bez żadnego odgłosu?

— Panie komendancie, meldujemy, że jesteśmy z oddziału „Bartosza”.

— Za późno. Kadzidło poszło tydzień temu do Betlejem. Została wazelina.

— To świetnie, bo mój empi zaczyna rdzewieć.

— Ale nie świetnie, że u leśniczego Niemcy. Pistolet pozbędzie się rdzy, ale nie tak łatwo leśniczy swoich go-

ści. Dwóch zostaje z Niemcem. Reszta otacza leśniczówkę. Ale kot to przy was fajtlapa.

W powietrzu się przeczyszcilo, księżyc otrząsnął się z chmur, w tej atmosferze leśniczówka wyglądała jak domek na kurzej łapce.

„Bartosz” jednym skokiem przypadł do ściany. Ostrożnie przysunął twarz do framugi okiennej. Tak, w pokoju Niemcy. Ta sama zandarmeria. Buty, pasy, podwójne rozcięcia u tyłów marynarek. Tak pewni, że nawet bez broni. Ale zaraz. Co? U każdego na lewym przedramieniu jakaś bielizna. Scierki! Kawalerze, Zachciało im się odstawić restaurację. Ale przed jakimi klientami?

Co jest? „Bartosz” macha ręką w jakimś nieokreślonym geście, chłopcom daje znak „nie strzelać”, sam bez żadnych środków ostrożności zbliża się do schodków przed gankiem. Wchodzi na ganek. Puka do drzwi!

Wie, że „Siwy” nie lubi być zaskoczony, dlatego ma tym pełniejszą satysfakcję:

— Cześć stary, przyszedłem ci złożyć wyrazy zazdrości z powodu zrzu-

tu „Siwy” wstaje zza stołu, wyciąga rękę.

— Cóż poradzić. Jest jeszcze trochę sprawiedliwości na tym świecie nawet podczas wojny. Czy ja ci wymawiam wysadzenie pociągu? Ale całe szczęście, że i jedno, i drugie mamy czym uccić. Czyli do usług. Szanowny pan sznycelek po wiedeńsku, rumsztyk z cebulką, czy pieczarki z rusczyku?

— Nie wyglupiaj się, widzę tylko marynatę.

— Brawo. To właśnie podejście klasowe. Precz z burżuazyjnymi wymysłami nawet w wyobraźni!

Doszło wreszcie do przywitania, które wyglądało jak próbowanie wkopanego słupa, ale doszło dopiero po pewnym czasie, ponieważ nie od razu się można było przecisnąć przez rozstawione skrzynki. A i Niemcy z ręcznikami na rękach nieco przybaranieli, zanim odstąpili pod ścianę.

„Bartosz” krzyknął przez otwarte drzwi na dwór:

— Wszysey do mnie!

„Wszysey” było leką przesadą, bo umiarkowany w metrażu pokój nie mieścił lokatorów stosownie do każdego życzenia, raczej zaś zgodnie z

prawidłami geometrii, i to tej euklidesowej. Nie przeszkadzało to jednak w przeprowadzeniu koncentracji wokół podawanego szkła i zaopatrzenia.

— Czy ma ktoś ochotę na curaçao? Wyobraźcie sobie, że to nie żart. Mamy je dzięki uprzejmości naszych zachodnich przyjaciół, którzy zechcieli zeń zrezygnować. Dalej wybór nie za duży, ponieważ, co, sami liczyli na spiżarnię leśniczego, która aktualnie wykazuje stan zerowy, ale szynka i ser szwajcarski jest. No i grzybki. Grzybków jak lodu w bajce o lodowej górze.

— Ale czy nie zanadto bajecznie — „Bartosz” chciał trochę ująć tej pewności siebie — podeszłście do rzeczywistości? Skończyło się dobrze, ale...

— Żadnych „ale”. Idąc zwinęliśmy wartownika, który zresztą swą wartość spełniał z rozkazu, a nie z przekonania. Czuli się bezpiecznie. Inaczej nie wybieraliby tego miejsca na noworoczną bibkę. Po zaskoczeniu jednego zaskoczenie reszty było już rozrywką. Wyobrażam sobie ich samopoczucie, kiedy od tak szlachetnego zajęcia musieli odstąpić już na wstępie. Ale kontynuacja trwa, tylko w innym wykonaniu. Jak widzisz, amatorów biesiady przekwalifikowaliśmy na kelnerów.

— Proponowałbym jednak ubezpieczenie.

— Posłuchaj. Wzięliśmy Niemca uzbrojonego? Uzbrojonego. Ale bez amunicji. To myślny go, z niej wypatrzyliśmy. Zostawiliśmy go w tym sa-

Pocztą literacką

Zacznę od wiadomości najważniejszej, ale — niestety — bardzo smutnej dla tych, którzy przysyłali do „Kamenu” swoje wiersze, opowiadania, humoreski, recenzje i inne próby literackie. Otóż po raz ostatni odpowiadam Wam — moi drodzy autorzy, ponieważ macie w rękach ostatni numer „Kamenu”. Tak, nasz dwutygodnik w tym kształcie i tej formule edytorskiej przestaje ukazywać się od 1 stycznia 1989.

A teraz kilka ostatnich odpowiedzi. Z koniecznym zastrzeżeniem, że nie odpowiadam tym wszystkim, którzy do mnie napisali. Ale na to trzeba byłoby przeliczyć dwie, trzy stronic „Kamenu”, tyle nabrało się korespondencji. Proszę więc o wyrozumiałość i cierpliwość tych, którzy nie doczekali się ode mnie odpowiedzi w „Poczcie”. Każdemu odpowiem listownie, ale to musi trochę potrwać.

Halina G. Werbkowice. Dziękuję za bardzo miły list. Co do wierszy, to wydaje mi się, że kiedyś pisała Pani lepiej. Te, które przysłała Pani teraz, są zbyt osobiste, widać w nich brak dystansu do opisywanych przeżyć, a to zawsze ujemnie odbija się na języku i metaforach. Nie słowo jest więc w tych wierszach najważniejsze, nie kunszt (a poezja to wszak mowa wiązana!), nie wynalazek językowy, ale ten „ktoś bliski”, o kim Pani pisze i za którym tęskni. Toteż radzę Pani nie sięgać w tym stanie ducha po pióro.

Janina S. Zielona Góra. Pani opowiadanie „Zaczarowany rower” przypomina seriale telewizyjne o supersamochodzie, supermotocyklu i superhelikopterze, jakie „chodzą” od lat w zachodnioeuropejskiej i amerykańskiej telewizji. Pani jednak postawiła sobie ambitniejsze zadanie i postanowiła wyśmiać tę niewybredną produkcję, schlebającą najniższemu gustowi. I prawie się udało, gdyż pomysły ma Pani znakomite. Najlepsze — że „wzmacniaczem zapachów”, zamontowanym przy siedelku i powodującym tzw. wielki pierd przy najmniejszym puszczaniu wiatrów. I ten wielki pierd kładzie pokotem (wszak potworny to zapach!) tych wszystkich, którzy ścigają współczesnego Janosika, jeżdżącemu na owym zaczarowanym rowerze. Jako leitmotiv wystarcza to już nie tylko na opowiadanie, ale i scenariusz niezłego filmu dla młodzieży. Niech Pani spróbuje zainteresować tym pomysłem którąś wytwórnictwo filmową. Jeżeli zaś chodzi o druk, to, niestety, muszę odpowiedzieć odmownie. 23 strony znormalizowanego maszynopisu to stanowczo za wiele, tym bardziej, że nie da się opowiadania tak skrócić, aby zachować wszystkie jego walory literackie. A próbowałem, gdyż rzecz naprawdę interesująca. Toteż odsyłam z prawdziwym żalem.

Elżbieta S. Biała Podlaska. Opowiadanie „Perpetuum mobile” oparte jest na niezłym pomysłach i sądzę, że chętnie wydrukowałby je miesięcznik „Fantastyka”, gdyby popracowała Pani jeszcze trochę nad językiem. Idea skonstruowania maszyny, która byłaby napędzana energią ZLA, czynionego przez osobę dorosłą dziecku, dałaby wstrząsający efekt literacki, gdyby powściągnęła Pani kwiecistość języka na rzecz dyscypliny myślowej. Zamiast epatować wątpliwą jakością metaforyką, nieco nie z naszego świata, powinna zastanowić się Pani nad pewnymi rozwiązaniami fabularnymi, które przynależałyby czytelnikowi suchymi faktami. To jest sposób na dobrą fantastykę i — jak mówi się od niedawna — tzw. fantasy. A więc niech Pani napisze to jeszcze raz, pomysł wart jest tego.

Janina G. Kraków. Posiada Pani iskrę talentu, z której, przy dużej pracy, buchnie może ogień znakomitej poezji. W każdym razie mało jest dobrej poezji erotycznej. Każdy początkujący literat bierze się, nie wiadomo czemu, albo za politykę, ale za zbawianie Polski i świata, jakby był przekonany, że ludzkość może przetrwać bez miłości. A właśnie tylko miłość może uratować świat i naszą cywilizację od zagłady. Jeżeli nie będziemy się kochać, to — po prostu — nas nie będzie, wymrzemy jako gatunek, kogóż więc ratować będą ci, pozał się Boże, naprawiacze? Niech zatem pisze Pani o miłości, bo to jest najpiękniejsze, co może człowiek przeżyć. Czasami zazdroścę Pani tej nieczym nie zmaconej i niesklamanej radości życia.

Wiesław H. Lublin. Zdaje się, że poznając ten styl. Mimo, że ukrył się Pan teraz pod pseudonimem, wydaje mi się, że kilka lat temu pisał Pan lepiej. Pamiętam Pańskie opowiadanie „Chłopiec z rowerem” które zrobiło na mnie duże wrażenie, a które drukowane było w „Kamenu” w roku (chyba) 1978. Wówczas bowiem był Pan wrażliwy na wiele spraw ludzkich, pisał Pan o bólu, cierpieniach młodych ludzi, którzy po raz pierwszy stykali się z życiem w jego najbrutalniejszej postaci. To, co przysłał mi Pan obecnie jest diametralnie inne. Widzę, że pracował Pan przez te dziesięć lat nad sobą i nad stylem, ale obrał Pan niewłaściwy kierunek. Otóż poszedł Pan w stronę eksperymentu formalnego, stara się Pan zaskoczyć czytelnika słowem, metaforą, jakimś dziwnym, ale nieumotywowanym rwanym narracją, wreszcie — naśladowaniem tzw. strumienia świadomości. Są to wszystkie eksperymenty już zużyte. Dzisiaj proza narracyjna powraca jakby do dawniejszej prostoty i to radzę Panu mieć na uwadze, jeżeli koniecznie chce Pan być pisarzem.

Jan M. Białystok i Krystyna S. Gniezno. Proszę o podanie adresów.

AP

mym miejscu, w którym postawił go feldfelbel. Kazaliśmy mu chodzić jak chodzą. Gdyby się napatoczył inny oddział niemiecki, miał wyszargotać kolegów, że wszystko w porządku. Gdyby jednak chciał się zdobyć na dowcip, nasz wartownik, bo postawiliśmy takiego i pokazaliśmy Niemcowi, pociągnąłby z automatu w jego stronę. Wtedy my pryskamy przez okno kuchenne, przedtem jednak duże dzielnych potomków Zygryda odpływają w krainę Walhalli. Czyli wzięta wartownika już wziętego przeze mnie. Życie okazuje się świetnym autorem komediowym.

— Co z nimi zrobisz?

— Nic. Mamy dziś Nowy Rok, zresztą to zwolennicy bardziej Pilznera niż Hitlera. Powiemy „do widzenia” i niech sobie radzą bez nas. Wystarczy mi przyjemność, że w komendzie nie dopatrzą się przy nich ani broni ani amunicji.

— A represje na leśniczym?

— Idzie z nami.

— Z żoną?

Leśniczy obruszony, że pomijają jego zdanie:

— Na szczęście Pan Bóg uchował.

— „Siwy”, zobacz która godzina, bo tu tylko twój zegarek dobrze chodzi.

— Słusznie. Baczość! Nacznynie chwyć! Za chwilę Rok Pański tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci. We wszystkich polskich domach zrywa się

ostatnią karikę kalendarza i patrzy z nadzieją w rok nadchodzący. Do nas należy tę nadzieję usprawiedliwić. Zadanie wykonamy do końca. A do dna wypijemy.

Nastąpiły pryciskania, potrząsania. Niemcy już znaleźli się poza kręgiem uwagi. „Siwy” krzyknął:

— Chodźcie z nami!

„Bartosz” z nie dopitym jeszcze kieliszkiem:

— Nie zgadza się z rozkładem partyzanckiej jazdy. Ale przed nami jeszcze cały karnawał. Jeśli do tego czasu nie skończy się wojna.

Po chwili:

— No, to za tych, co na morzu.

Wypił. Podszedł do „Siwego”. Znów cztery dłonie w jeden węzeł. Znów to próbowanie drewna.

Wywalila się przez ganek grupa „Bartosza”. Ręce w geście zegnania, czapki na głowy.

Doskoczył jeden przez ganek:

— To na drogę.

A kiedy flaszką przeszła w ręce obdarowanego:

— I słoik z grzybkami. Nie możecie się przecieć upić.

Zaszumiał las. Poszło na mróz. W górze zaśnity gwiazdy jak lodowe iskry. Zanim jednak na dobre weszli w sosnową noc, ujrzeni jeszcze, że światło w leśniczówce ucizło.

Zygmunt Mikulski

Atomowy koń trojański

Dokończenie ze str. 4

Energetyka atomowa oznacza dzisiaj na świecie najdoskonalszą technikę budownictwa przemysłowego i funkcjonowania obiektów przemysłowych. Toteż wbrew temu, co sądził min. Wilczek — dla nas, w Polsce, oznaczać to będzie właśnie przeskoczenie pewnego etapu rozwoju. Może najpierw nauczymy się porządnie budować domy i drogi, kłaść równo asfalt i spróbujemy zrobić, aby pociągi jeździły zgodnie z rozkładem jazdy, a toalety w nich były zawsze czyste (tak było np. we Francji, zanim zbudowano tam pierwszą silownię jądrową). To jest właśnie ten pośredni etap pomiędzy stanem, w jakim znajdujemy się obecnie, a wysoko rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi. Nie przeskakujemy więc etapów, wystarczy, że wiemy, co wyszło z tego, że pewne kraje przeskoczyły etap rozwiniętego kapitalizmu.

Zamiast więc twierdzić, że inżynierowie „piszą dyrdymały”, może należałoby się zastanowić, dlaczego wszystkie wysoko rozwinięte kraje na świecie poważnie zahamowały dalszy rozwój energetyki atomowej: niektóre wstrzymały budowy (ostatnio zdecydowano o wstrzymaniu budowy na Białorusi), inne w ogóle się wycofały, jak np. Austria, gdzie elektrownia atomowa oddana pod klucz stoi zamknięta, gdyż tak zdecydowali sami Austriacy. Może by więc po prostu zapytać, jakie kierowały nimi powody? Może jednak wysłuchać naszych inżynierów i tego biskupa, który wprowadził sam nie zna się może na atomistyce, ale chyba zasięgnął w tej mierze fachowej opinii?

Traktowanie oponentów własnej koncepcji rozwojowej jako durniów, co — to jest sprawdzona i wypróbowana metoda w dziejach gospodarczych PRL, a dokąd nas zaprowadziła, widzimy wszyscy. Więc może raz spróbowałibyśmy inaczej? Nie musimy od razu wymyślać prochu, wystarczy naśladować tych, co zaszli od nas dalej, co żyją od nas lepiej. Wygodniej, mają więcej niż my prądu z elektrowni węglowych i o wiele czystsze powietrze.

Kiedy dowiedziałem się, że w Chotczy koło Kazimierza planuje się wybudowanie kolejnej (po Zarnowcu) silowni jądrowej, pojechałem posłuchać, co tamtejsi ludzie sądzą o tym pomysle. Otóż nikt tej elektrowni nie chce. Sołtys Chotczy namówił mnie na małą wyprawę za wieś, gdzie stoi już jedna państwowa inwestycja: cztery wielkie chlewnie, w których miejscowa SKR miała hodować świnię. Obiekt od lat stoi pusty, niszczeje, podupada, resztki urządzeń są powoli, ale systematycznie rozkradane. Ile tu zmarnowano energii? Energii, jaka poszła na wyprodukowanie cementu i stali, przywiezienie tego wszystkiego tutaj, postawienie, pomalowanie itd.?

Sołtys powiedział:

— Panie, jak oni nie potrafią wyhodować świni, to wybudują dobrą elektrownię atomową? Nigdy!

Podrapał się pod czapkę w głowę i dodał:

— Jak chłop by tak gospodarował, to by chodził głodny i bosy.

Rozwiązania krzyżówek

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 24 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Co pomyśleliby o mnie pan admirał i moja ukochana matka, gdyby wiedzieli, że słucham tej starej zamiast ją udusić? Ale i na to jeszcze przyjdzie czas. Zemsta moja będzie przygotowywał długo, aby była pełniejsza.

Henryk Mann

Młodość króla Henryka IV

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 25 Z SZYFREM

Posiomo: ciemność, odlewnia, winniczek, Zaduszek, nazwisko, królestwo, relikty, sandały, walc Aida, jojo, król, luka, nici, zima, kwit, sanacja, samolot, Amsterdam, konstabl, intencje, podkładka, prywatny, łączność.

Pionowo: Cezar, szkop, epoka, Erdal, Nancy, ikona, nosek, eytra, Tokaj, ćwik, wóz, Alpy, realizm, gnilec, antyki, sejsja, kurhan, wędlina, okno, aut, miał, Agata, Krwin, miecz, denko, nisza, licho, Łącko, Azory, treść.

Szyfr

Przykro jednak pracować z wojownikami o wolność, którzy chętnie by z niej skorzystali dla wywieszania myślicy inaczej.

Jerzy Jęstonowski

Maska czasu

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 24 nagrodę wylosował Henryk Piotrowski, ul. Okrzei 4 m. 50, 20-123 Lublin, natomiast za rozwiązanie krzyżówki nr 25 nagrodę wylosowała Anna Nakonieczna, ul. Górską 1 m. 54, 20-883 Lublin.



W przechowalni („Stern”)

Kajet literacki

Lubelska cyganeria

SIEDZIMY z kolegą i dyskutujemy o lubelskiej cyganerii. Była w ogóle takowa czy nie? Kolega, jako człowiek po pięćdziesiątce, najserdeczniej wspomina bujny okres po Październiku.

Nie brakowało wtedy pomysłów. Młodzi poeci dźwigali takie wielkie tablice, jakie kiedyś nosili bezrobotni. Napis głosił, że tego a tego dnia o godzinie tej a tej odbędzie się niepowtarzalny wieczór autorski. Chodzili po sklepach, po restauracjach i cały Lublin to czytał. A potem tłumy waliły na imprezę. Każdy entuzjasta chciał posłuchać dowcipnych chłopaków z transparentami.

Młodzi adepci zawsze chętnie łączili twórczość z poezją życia. Dlatego właśnie ich życiorysy są często najwspanialszym poematem. Zresztą poezja życia bywa naprawdę natchniona. Oto przykład. Wtedy właśnie „Przekrój” publikował zdjęcia ślicznotek pod hasłem „Piękne dziewczyny na ekrany”. Młodzi poeci upodobili sobie jedną panią i dedykowali jej wszystkie drukowane wiersze. Wreszcie utwory te dotarły do pięknej muzy. Wzruszona, podniecona, przyjechała do Lublina, gdzie dalej ją lansowano po kawiarniach. Ale proza życia stłamsiła tę nibymiłość. Po prostu zabrakło pieniędzy, żeby wyżywić jeszcze jedną gębę w chudoliterackim świecie.

Proza życia bywa też wulgarna. Oto kolejny przykład. Poeci tamtej generacji uwielbiali Przybosa. Kiedyś Mistrz zaszczylił ich swoim towarzystwem i uderzył w ton: „Ja, książę poetów”. Dosłownie tak mówił o sobie, a młodych natychmiast gorąca krew zalała. Ktoś wiedział, gdzie

Mistrz zamieszkał, więc poszli tam i przez dziurkę od klucza opróżnili całą butelkę piwa.

Tak to ongiś bywało. Zresztą poeci ci działają po swojemu jeszcze i teraz. Ostatnio na drzwiach mieszkania pewnego lubelskiego tym razem Mistrza wymalowali wielki cytat z Norwida, jako swoistą zachętę do prawdziwej twórczości. A więc ci pięćdziesięcioletni teraz chłopcy dalej działają po studencku, demonstracyjnie. To stało się ich stylem na długie lata, na całe życie.

Młodzi od nich koledzy za złoty okres lubelskiej bohemy uważają jednak raczej przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Przywołuje się przy tej okazji życiorysy, powiedzonka i numery Fronczka, Kwiatkowskiego, Luczeńczyka, Podgórskiego czy Rozenfelda. „Kwiat” przyjechał do Lublina na juwenalia na trzy dni i siedzi tu już lat ponad dwadzieścia, bo trzydniowe juwenalia dobre są dla owadów.

A lubelacy kochają swoich artystów. Jeden budowlaniec opowiedział mi taką historię z lat siedemdziesiątych. Na budowie przestoje, brak materiałów, głupiej uszczelki nie ma. Jedni fachowcy grali w karty, inni przysnęli na prywatne fuchy, a jeszcze inni poszli do pawilonu na piwo. Tam spotkali znanego poetę i wzięli go ze sobą. Szkielet wieżowca natychmiast ożył. Ci, co grali w karty, rzucili się na piwo — a poeta do samego „fajerantu” recytował im swoje i cudze wiersze w tej niepowtarzalnej scenerii nie dokończonego mrowiskowca.

We wspomnieniach wszystko jest dostatecznie barwne. Kiedyś tam, powiedzmy: w roku dwutysięcznym, ze sklerotycznym wzruszeniem wspominać będziemy niezapomnianą atmosferę szalonych lat osiemdziesiątych. Fin de siecle tego stulecia też znajdzie swoich piewców, nie ma obawy.

Janusz Olczak

Z teki Tomasza Wilczkiewicza



Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Ireneusz J. Kamiński, Andrzej W. Pawluczuk (sprawy literackie). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Uniońska 4.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jawnia 6, tel. 255-30.

Zam. 2175. 24.11.1988. A-5.